

Wieniedikt Jerofiejew

MOSKWA PIETUSZKI

Przełożyła BARBARA DOHNALIK

WADIMOWI TICHONOWOWI

Mojemu kochanemu pionierowi te tragiczne stronicę poświęca autor

Od Wydawcy

Przekład niniejszy dokonany został na podstawie rosyjskojęzycznego wydania „*Moskwy-Pietuszek*”, opublikowanego przez YMCA-PRESS w 1981 roku w Paryżu. Autorka tłumaczenia uwzględniła poprawki i uzupełnienia naniesione do tego wydania przez Wieniedikta Jerofiejewa w kwietniu 1989 roku.

Pierwsze wydanie w języku polskim ukazało się w 1976 roku w Londynie nakładem wydawnictwa „Kontra” w przekładzie Niny Karsov i Szymona Szechtera. Polski czytelnik miał okazję zetknąć się do tej pory jedynie z tym tłumaczeniem - w wydaniach i przedrukach dokonanych przez Niezależną Oficynę Wydawniczą „Nowa”, Międzyzakładową Strukturę „Solidarność” - „V”.

Wyjaśnienie autora

Pierwsze wydanie *Moskwy-Pietuszek*, z uwagi na to, iż był to jeden egzemplarz, rozeszło się szybko. Od tamtej pory spotykałem się z mnóstwem zarzutów pod adresem rozdziału „Sierp i Młot - Karaczarowo”, zresztą zupełnie niesłusznie. We wstępie do pierwszego wydania uprzedzałem wszystkie panienki, że rozdział „Sierp i Młot-Karaczarowo” należy pominąć nie czytając, ponieważ po zdaniu „I niezwłocznie wypilem” następuje półtorej strony najczystszych przekleństw; w całym tym rozdziale nie ma ani jednego cenzuralnego słowa z wyjątkiem zdania „I niezwłocznie wypilem”. Tym rzetelnym wyjaśnieniem osiągnąłem jedynie to, że wszyscy czytelnicy, a zwłaszcza dziewczyny, od razu łapali za rozdział „Sierp i Młot - Karaczarowo”, nawet nie czytając poprzednich rozdziałów, nie czytając nawet zdania „I niezwłocznie wypilem”. Z tej przyczyny uznałem za niezbędne w drugim nakładzie usunąć z rozdziału „Sierp i Młot - Karaczarowo” wszystkie znajdujące się tam nieprzyzwoitości. Tak będzie lepiej, dlatego że, po pierwsze, zaczną mnie czytać po kolei, a po drugie, nie będą się czuli dotknięci.

W. Jer.

Moskwa

W drodze na dworzec Kurski

Wszyscy gadają: Kreml, Kreml. Od wszystkich o nim słyszałem, ale nigdy nie udało mi się go zobaczyć. Który to już raz (bodaj tysięczny), spity lub kompletnie skacowany, przemierzałem Moskwę z północy na południe lub z zachodu na wschód, od krańca do krańca, na przestrzał i jak popadło - i ani razu nie widziałem Kremla.

Otóż wczoraj również go nie zobaczyłem - a przecież kręciłem się w pobliżu przez cały wieczór, i to wcale nie tak bardzo zalany: jak tylko trafiłem na dworzec Sawielowski, wypilem na początek szklankę żubrówki, ponieważ wiem z doświadczenia, iż w charakterze porannego klina ludzie nic lepszego jeszcze nie wymyślili.

Tak. Szklanka żubrówki. A potem - na Kalajewskiej - druga szklanka, tyle że już nie żubrówki, lecz kolendrówki. Jeden mój znajomy opowiadał, że kolendrówka wpływa na człowieka antyhumanitarnie, to znaczy, wzmacnia wszystkie członki, a osłabia duszę. Ze mną było nie wiadomo dlaczego odwrotnie, to znaczy dusza mi w najwyższym stopniu okrzepla, a członki osłabły, ale uważam, że to też jest niehumanitarne. I dlatego od razu tam, na Kalajewskiej, doprawilem się jeszcze dwoma kuflami żygulewskiego piwa i wałęsałem z gwinta białego deserowego.

Spytacie oczywiście: a dalej, Wieniczka, a dalej - co potem piłeś? Otóż sam dokładnie nie wiem, co piłem. Pamiętam, że na ulicy Czechowa wypilem dwie szklanki myśliwskiej. Ale przecież nie mogłem przeciąć Sadowego Kolca, nic nie wypiwszy? Nie mogłem. To znaczy, że jeszcze coś piłem.

Potem ruszyłem do centrum, dlatego że ze mną jest zawsze tak: kiedy szukam Kremla, niezmiennie trafiam na dworzec Kurski. Przecież właściwie i tak musiałem iść na Kurski, a nie do centrum, ale mimo wszystko skierowałem się w stronę centrum, żeby chociaż raz popatrzeć na Kreml: przecież to wszystko jedno, myślę, żadnego Kremla i tak nie zobaczę, a trafię prosto na Kurski.

Chce mi się teraz prawie płakać ze wstydu. Nie dlatego oczywiście, że wczoraj jednak nie trafiłem na Kurski. (To głupstwo - nie udało się wczoraj - uda się dzisiaj.) No i oczywiście nie dlatego, że ocknąłem się nad ranem w jakiejś nieznanej klatce schodowej (jak się okazało, usiadłem sobie wieczorem na schodku, według obliczeń - czterdziestym od dołu, przytuliłem do serca walizeczkę i tak usnąłem). Nie, nie dlatego mi wstyd. Oto dlaczego się wstydzę: dopiero co obliczyłem, że po drodze z ulicy Czechowa do owej klatki schodowej przepiłem jeszcze sześć rubli - ale co i gdzie piłem? w jakiej kolejności? czy z przyjemnością, czy bez?

Tego nikt nie wie i teraz już nigdy się nie dowie. Do tej pory przecież nie wiem, czy car Borys zamordował carewicza Dymitra czy na odwrót?

Co to była za klatka, dotąd nie mam zielonego pojęcia; ale tak być powinno. Właśnie tak. Wszystko na świecie powinno toczyć się powoli i nieprawidłowo, żeby człowiek nie mógł być z siebie dumny, żeby był smutny i zagubiony.

Wyszedłem na dwór, kiedy było już jasno. Wszyscy wiedzą, wszyscy ci, którzy w zamroczeniu trafiali do klatek schodowych i wyłaniali się z nich o świcie - wszyscy wiedzą, jaki ciężar dźwigałem w sercu, schodząc po tych czterdziestu stopniach, a następnie wyniosłem na dwór.

- To nic, to nic - powiedziałem sobie - nic, nic. Otóż i apteka, widzisz? A tam znów jakiś pedryl w brązowej kurtce szlifuje bruki. To też widzisz. No właśnie, uspokój się. Wszystko idzie jak należy. Jeśli chcesz iść w lewo, Wieniczka, idź w lewo, do niczego cię nie zmuszam. Jeżeli chcesz iść w prawo - ruszaj w prawo.

Poszedłem w prawo, chwiejąc się lekko z zimna i zgryzoty, tak, z zimna i zgryzoty. Och, to poranne brzemię na sercu! Och, ta iluzoryczność nieszczęścia! Ten fatalizm! I czegoż więcej w tym brzemieniu, którego nikt jeszcze nie nazwał właściwym imieniem? Czego w nim więcej: paraliżu czy mdłości? Załamania nerwowego czy śmiertelnej tęsknoty gdzieś tam pod sercem? A jeżeli wszystkiego jest po równo, to czego w tym czymś więcej: letargu czy dreszczy?

To nic, to nic - mówiłem sobie - zasłoń się - od wiatru i idź powolutku i oddychaj rzadko, jak najrzadziej. Oddychaj tak, żeby nogi nie uginały się w kolanach. I idź dokądkolwiek. Wszystko jedno dokąd. Jeśli nawet pójdziesz w lewo - trafisz na Kurski, jeśli prosto - też na Kurski, tak czy owak. Dlatego idź w prawo, żeby trafić tam na pewniaka. O, daremny trudzie!

O, efemeryczności! O, najbardziej bezsilna i haniebna pora w życiu mojego narodu - pora od świtu do otwarcia sklepów! Iluż to siwych włosów przysporzyłaś nam wszystkim niepotrzebnie, nam, bezdomnym i udręczonym szatynom! Idź, Wieniczka, idź!

Moskwa

Plac przed dworcem Kurskim

No cóż, wiedziałem, co mówię: pójdziesz w prawo - bez wątpienia trafisz na Kurski. Nudno ci było w tych zaułkach, Wieniczka, zapragnąłeś ruchu, hałasu - no więc masz...

- Daj spokój - opędałem się sam od siebie. - Alboż ten twój ruch jest mi potrzebny?

Albo twoi ludzie są potrzebni? Wszak nawet Odkupiciel mówił, i to nawet swojej rodzonej matce, tak: „Co mnie i tobie, niewiasto?” A więc tym bardziej co mnie - co mnie do tych rozgorączkowanych i obrzydłych ludzi?

Lepiej oprę się o filar i zamknę oczy, żeby mniej mdliło...

- *Oczywiście, Wieniczka, oczywiście* - zaśpiewał ktoś na wysokościach łagodnie, tkliwie. - *Zamknij oczy, żeby cię mniej mdliło.*

O! Poznaję! To znów oni. Aniołowie Pańscy! To znów wy?

- *Ależ oczywiście, że my.* - I znów tak łagodnie, tkliwie...

- Wiecie co, aniołowie? - spytałem równie czule.

- *Co?*- ozwali się aniołowie.

- Tak mi ciężko...

- *Tak, wiemy, że ci ciężko* - zaśpiewali aniołowie. - *Pospaceruj sobie, będzie ci lżej, za pół godziny otworzą sklep: wódka jest tam co prawda od dziewiątej, ale czerwone możesz dostać od razu...*

- Czerwone?

- *Czerwone* - powtórzyli śpiewnie aniołowie Pańscy.

- Zimne?

- *Zimne, oczywiście...*

O! Jakże byłem wzruszony!

- Mówicie: pospaceruj, pospaceruj, będzie ci lżej. A przecież nawet chodzić mi się nie chce... Sami wiecie, co znaczy chodzić w takim stanie!...

Aniołowie milczeli chwilę. A potem znów zaśpiewali:

- *Wiesz co, wstąp do restauracji dworcowej. Może tam coś będzie. Wczoraj wieczorem był kseres. Nie mogli przecież wypić całego kseresu w ciągu jednego wieczoru...*

- Tak, tak, tak. Pójdę. Zaraz pójdę i zobaczę. Dzięki wam, aniołowie.

A oni znów ozwali się łagodnym chórem:

- *Na zdrowie, Wierna...*

A potem:

- *Nie warto...*

Jacyż oni mili!... No cóż... Iść to iść. I jak dobrze, że wczoraj wieczorem kupiłem prezenty, nie mogę przecież jechać do Pietuszek bez prezentów. Do Pietuszek bez upominków za nic nie można jechać. To aniołowie przypomnieli mi o nich, dlatego że ci, dla których je kupiłem, sami przypominają aniołów. Dobrze, że kupiłem... A kiedyś ty je wczoraj kupił? Przypomnij sobie... idź i po drodze sobie przypomnij...

Przeszedłem przez plac - mówiąc dokładnie, nie przeszedłem, lecz się powlokłem. Dwa albo trzy razy przystawałem i zastygałem w miejscu - aby uciszyć w sobie mdłości. Wszak człowiek to nie tylko aspekt fizyczny, lecz także duchowy, a oprócz tego istnieje również aspekt mistyczny - ponadduchowy. Tak więc z minuty na minutę oczekiwałem, że na środku placu zacznie mnie mdlić we wszystkich trzech aspektach. I znów się zatrzymywałem i znów zastygałem w bezruchu.

- A więc kiedy kupiłeś wczoraj te upominki? Po myśliwskiej? - Nie, po myśliwskiej nie miałem głowy do zakupów. - Między pierwszą a drugą szklanką myśliwskiej? - Też nie. Pomiędzy nimi była przerwa około trzydziestu sekund, a ja nie jestem nadczłowiekiem, żeby w trzydzieści sekund cokolwiek załatwić. Nawet nadczłowiek zważyłby się po pierwszej szklance myśliwskiej, drugą zostawiając nietkniętą. Więc kiedy? Boże miłosierny, ileż na tym świecie tajemnic! Nieprzenikniona jest zasłona tajemnicy! Przed kolendrówką czy między piwem a białym deserowym?

Moskwa

Restauracja na Kurskim

Nie, absolutnie nie między piwem a białym deserowym, stanowczo nie było tam żadnej przerwy. Ale, że przed kolendrówką, to bardzo prawdopodobne. A raczej tak: orzechy kupiłem przed kolendrówką, za to cukierki - później. Mogło jednak być też na odwrót: kiedy się napiłem kolendrówki, wówczas...

- Nie ma żadnego alkoholu - oświadczył wykidajło. I przyjrzał mi się takim wzrokiem, jakbym był zdechłym ptaszkiem albo ubłoconym jaskrem.

Nie ma żadnego alkoholu!

I chociaż skręcałem się z rozpacz, jednak mimo wszystko potrafiłem wymamrotać, że przyszedłem w ogóle nie w tym celu. Mogłem przecież przyjść z różnych powodów, czyż nie? Może ekspres do Permu z jakiejś przyczyny nie chce odjechać, i dlatego właśnie przyszedłem tutaj: zjeść strogonowa i posłuchać Iwana Kozłowskiego albo czegoś z *Cyrulika*.

Walizeczkę jednakowoż wziąłem ze sobą i - jak przedtem w klatce schodowej - przytuliłem ją do serca w oczekiwaniu na złożenie zamówienia.

Nie ma żadnego alkoholu! Królowo Niebieska! Wszak, jeśli wierzyć aniołom, są tu niewyczerpane zapasy kseresu. A tymczasem słyszę tylko muzykę i jakieś psie, modulowane wycie. Rzeczywiście, to śpiewa Iwan Kozłowski, od razu poznałem, nie ma ohydniejszego głosu. Wszystkie głosy wszystkich śpiewaków są jednakowo ohydne, ale każdy jest ohydny na

swój indywidualny sposób, dlatego też mogę je bez trudu rozpoznać ze słuchu... No oczywiście, Iwan Kozłowski... „O-o-o, czaro przo-o-dków mych... O-o-o, pozwól mi patrzeć na cię w blasku no-o-cnych gwiazd...” No oczywiście, że Iwan Kozłowski... „O-o-o, czemuś urzekła-a-a mnie... Nie każ odchodzić mi-i-i...”

- Będzie pan coś zamawiał?

- A macie coś jeszcze oprócz muzyki?

- Dlaczego nie? Jest strogonow, ciastka, wymię... Znów powróciły mdłości.

- A kseres?

- Kseresu nie ma.

- Ciekawe. Wymię jest, a kseresu nie ma!

- Barrrrdzo ciekawe. Tak. Kseresu nie ma. A wymię jest.

I przestano się mną interesować. A ja, żeby tak bardzo mnie nie mdliło, zacząłem wpatrywać się w wiszący nad głową żyrandol.

Ładny żyrandol. Ale za ciężki. Jeśli akurat się urwie i spadnie komuś na głowę - może to być bardzo bolesne... Chociaż nie, dlaczego zaraz bolesne; podczas gdy żyrandol się urywa i spada, ty siedzisz sobie i - nic nie podejrzewając - pijesz, na przykład, kseres. A kiedy żyrandol doleci do ciebie - i tak cię już nie będzie między żywymi. Co za przygnębiająca myśl... Siedzisz sobie - a tu z góry - żyrandol. Szalenie przygnębiające...

Chociaż nie, dlaczego? Cóż w tym takiego przygnębiającego? Jeżeli, dajmy na to, zawsze pijesz kseres i jeżeli teraz siedzisz skacowany, a jeszcze nie zdążyłeś się na nowo zaprawić, bo kseresu nie chcą ci podać, i wtedy spada ci prosto na łeb żyrandol - to jest dopiero przytłaczające... Tak, wręcz przygniatająca myśl. Myśl, którą nie każdy udźwignie. Zwłaszcza na kacu...

A czy byś się zgodził, gdyby zaproponowano ci na przykład coś takiego: my ci tu przyniesiemy zaraz 800 gramów kseresu, ale za to odczepimy żyrandol nad twoją głową i...

- No i jak, namyślił się pan? Będzie pan coś zamawiał?

- Poproszę 800 gramów kseresu.

- Ty już i tak jesteś dobry, od razu widać! Mówię ci przecież po rosyjsku: kseresu nie ma!

- No to... poczekam, aż będzie...

- A czekaj, czekaj... Doczekasz się! Będziesz miał kseres wtedy!

I znów zostałem sam. Z odrazą popatrzyłem za ową kobietą. Zwłaszcza nie podobały mi się jej białe pończochy bez szwów; szew by mnie uspokoił, a być może, ulżył też duszy i sumieniu...

Dlaczego oni wszyscy są tacy chamscy? Co? Bo przecież zachowują się po chamsku i to z całą świadomością, celowo, zwłaszcza w takich chwilach, kiedy nie wolno być chamem, kiedy człowiek jest skacowany, i z tego kaca ma wszystkie nerwy na wierzchu; a przecież siedzi łagodny i cichy. Dlaczego tak jest? O, gdyby cały świat był taki jak ja teraz, gdyby każdy na tym świecie był łagodny i załęknioty, a także niepewny niczego, ani siebie, ani wagi swego istnienia na ziemi - jakże byłoby dobrze! Żadnych entuzjastów, żadnych osiągnięć, żadnych nawiedzeń! Zgodziłbym się żyć na ziemi całą wieczność, gdyby mi przedtem pokazano jakiś zakątek, gdzie niekoniecznie zawsze trzeba osiągać sukcesy. „Powszechna obojętność” - tak, to ratunek przed wszelkimi nieszczęściami, to panaceum, to podstawa najwyższej doskonałości! A co do takiej cechy natury ludzkiej, jaką jest chęć działania...

- Kto tu zamawiał kseres?

Nade mną - dwie kobiety i jeden mężczyzna, wszyscy troje w bieli. Podniosłem na nich wzrok - o, ileż musiało być w owej chwili w moich oczach wszelkiego łajdactwa i szpetoty, zrozumiałem to, widząc ich i ich oczy, jako że w tych oczach odbijało się to samo łajdactwo i szpetota... Osląłem, dałem za wygraną.

- Ale przecież ja... o nic właściwie nie proszę... No dobrze, nie ma kseresu, to poczekam... ja tylko...

- Co znaczy „tylko?”... Na co pan „poczeką”?

- Ależ na nic... Ja po prostu jadę do Pietuszek, do ukochanej dziewczyny (cha-cha! do „ukochanej dziewczyny”!) - nakupiłem prezentów.

A ci hycle czekali tylko na to, co jeszcze powiem.

- Ja przecież... jestem z Syberii, sierota... Po prostu, żeby mnie mniej mdliło... chciałbym kseresu.

Niepotrzebnie znów wspomniałem o kseresie, niepotrzebnie! Od razu ich to rozwścieczyło. Wszyscy troje chwycili mnie pod ręce, powlekli przez całą salę - o, bólu poniżenia! - i wyrzucili na dwór. W ślad za mną cisnęli walizczkę z prezentami.

A więc znowu na dworze. O, jałowa pustynia! O, wilcze prawa życia!

Moskwa

Na pociąg przez monopolowy

To, co było potem - od restauracji do monopolowego i od monopolowego do pociągu - tego język ludzki nie jest w stanie wyrazić. Ja również nie próbuję. A gdyby nawet wzięli się do tego aniołowie - to po prostu rozplakaliby się i tyle... a poprzez łzy trudno cokolwiek

powiedzieć.

Lepiej będzie tak: uczcijmy minutą milczenia te dwie mordercze godziny. Pamiętaj, Wieniczka, o tych godzinach. W najbardziej triumfalnych i upojnych dniach swojego życia - pamiętaj o nich. W chwilach rozkoszy i uniesienia - nie zapominaj. To się nigdy nie powinno powtórzyć. Zwracam się do wszystkich krewnych i przyjaciół, do wszystkich ludzi dobrej woli, zwracam się do tych, których serca otwarte są dla poezji i współczucia.

Porzućcie wasze zajęcia. Stańcie przy mnie i uczcijmy minutą milczenia to, co jest niewyrażalne. Jeżeli macie pod ręką jakąś syrenę czy sygnał - naciśnijcie niezwłocznie guzik.

Tak. Ja również stoję. Równą minutę, mętным wzrokiem gapiąc się na dworcowy zegar, stoję jak słup pośrodku placu przed dworcem Kurskim. Moje włosy rozwiewają się na wietrze, stają dęba i znów się rozwiewają. Taksówki opływają mnie ze wszystkich czterech stron. Ludzie - także; przy tym spoglądają na mnie ze zdumieniem, myśląc zapewne: czy warto go tak uwiecznić ku przestrodze starożytnym ludom, czy też nie?

I zakłóca ową ciszę tylko ochrypli damski bas, płynący nie wiadomo skąd:

- Uwaga! Uwaga! Pociąg do Pietuszek odjedzie z bocznicy czwartej o godzinie 8 minut 16. Pociąg zatrzymuje się na stacjach: Sierp i Młot, Czuchlinka, Rieutowo, Żeleznodorożnaja. Dalej wszędzie zgodnie z rozkładem, z wyjątkiem stacji Jesino.

A ja wciąż stoję.

- Powtarzam! Pociąg do Pietuszek odjedzie z bocznicy czwartej o godzinie 8 minut 16. Pociąg zatrzymuje się na stacjach: Sierp i Młot, Czuchlinka, Rieutowo, Żeleznodorożnaja. Dalej zgodnie z rozkładem, z wyjątkiem stacji Jesino.

I to wszystko. Minuta upłynęła. A teraz, oczywiście, zarzucicie mnie pytaniami w rodzaju: „Idziesz prosto z monopolowego, prawda, Wieniczka?”

- Tak - odpowiadam - z monopolowego. - I dalej idę w stronę peronu, z głową przechyloną na lewe ramię.

- Twoja walizeczka jest teraz ciężka, tak? A w sercu grają harfy eolskie? Nieprawdaż?

- No, jakby to powiedzieć! - mówię, skłaniając głowę w prawo. - Walizeczka jest istotnie bardzo ciężka. A co się tyczy harf eolskich, to jeszcze za wcześnie, aby o tym rozprawić...

- A coś ty takiego kupił, Wieniczka? Strasznie jesteśmy ciekawi!

- Tak, rozumiem, że to interesujące. Zaraz, zaraz - niech sobie przepowiem: przede wszystkim dwie butelki kubańskiej - dwa sześćdziesiąt dwie każda, razem pięć dwadzieścia cztery. Dalej dwie ćwiartki rosyjskiej, za rubel sześćdziesiąt cztery, w sumie pięć dwadzieścia cztery plus trzy dwadzieścia osiem. Osiem rubli pięćdziesiąt dwie kopiejki. I jeszcze jakieś

czerwone. Zaraz sobie przypomnę. Aha - różowe wzmocnione za rubel trzydzieści siedem.

- Tak-tak-tak - mówicie - a ogółem? To szalenie ciekawe...

- Zaraz podam wam ostateczną sumę. W sumie Wypada dziewięć rubli osiemdziesiąt dziewięć kopiejek - mówię wchodząc na peron.

- Ale to niezupełnie wszystko. No bo kupiłem jeszcze dwie kanapki, żeby nie rzygnąć.

- Chciałeś powiedzieć, Wieniczka, żeby cię nie zemdliło?

- Nie, powiedziałem, co powiedziałem. Pierwszej lufy nie umiem strzelić bez zakąski, ponieważ mogę rzygnąć. Ale drugą i trzecią potrafię wypić na sucho, bo zemdlić to może i zemdli, ale już za nic się nie wyrzygam. I tak aż do dziewiątej. A wtedy znów przyda się kanapka.

- Dlaczego? Znow cię zemdli?

- A nie, zemdlić to już mnie na pewno nie zemdli, ale fakt, że mogę rzygnąć.

Oczywiście, kiwacie tylko głowami. Tak, widzę, stąd, z mokrego peronu, jak wy wszyscy, rozsiani po mojej ziemi, kiwacie głowami i już zaczynacie ironizować:

- Jakie to skomplikowane, Wieniczka! Jakie subtelne!

- Ma się rozumieć!

- Co za precyzja myślenia! I to wszystko?! To wszystko, czego ci trzeba do szczęścia?

Więcej nic?

- Jak to więcej nic? - mówię, wsiadając do wagonu. - Gdybym miał więcej pieniędzy, kupiłbym jeszcze piwo i parę butelek portwajnu, ale przecież...

I tu już zaczynacie mędzić na całego:

- O-o-o-o-och, Wieniczka! O-o-och, ale z ciebie prymityw!

No i co z tego? Niech będzie prymityw, powiadam. I po prostu przestaję z wami gadać. Niech będzie prymityw! A na wasze pytania dalej odpowiadać nie mam zamiaru. Lepiej już usiądę, przytulę do serca walizeczkę i pogapię się przez okno. Właśnie tak. Niech będzie prymityw!

A wy się wciąż czepiacie:

- No, coś ty? Obraziłeś się?

- Ależ nie - odpowiadam.

- Nie obrażaj się, chcemy twojego dobra. Tylko dlaczego, durniu, tak przyciskasz do serca tę walizeczkę? Dlatego że jest tam wódka, co?

Teraz to już naprawdę się obrażam - bo co ma do tego wódka?

- Obywatele pasażerowie, nasz pociąg jedzie do stacji Pietuszki. Zatrzymuje się na stacjach: Sierp i Młot, Czuchlinka, Rieutowo, Żelznodorożnaja, dalej według rozkładu, z

wyjątkiem stacji Jesino.

Co, w gruncie rzeczy, ma do tego wódka? Przyczepili się do wódki! A ja w restauracji też, jeśli chcecie wiedzieć, przyciskałem walizkę do serca, choć żadnej wódki jeszcze tam nie było. I w klatce schodowej, jeżeli sobie przypominacie - również ją przyciskałem, a wódką wtedy nawet nie pachniało!... Skoro już chcecie koniecznie wszystko wiedzieć, to wam o wszystkim opowiem, tylko poczekajcie. Otóż walnę sobie klina w Sierpie i Młocie.

Moskwa - Sierp i Młot

i wtedy wszystko, naprawdę wszystko opowiem. Cierpliwości. Przecież ja też cierpię!

Oczywiście, wszyscy oni uważają mnie za wykolejence. Rano i na kacu ja sam jestem o sobie takiego mniemania. Ale nie można przecież brać na serio faceta, który jeszcze nie zdążył zaprawić! Za to wieczorem - jakież są we mnie głębie! - jeżeli, oczywiście, nawalę się dobrze w ciągu dnia - jakież przepastne głębie rozwierają się we mnie wieczorami!

Ale niech tam. Mogę być i wykolejencem. Tak w ogóle, to zaobserwowałem, że jeżeli człowiek rano czuje się fatalnie, a wieczorem jest pełen pomysłów i marzeń, i zrywów, to taki człowiek jest naprawdę wykolejony. Rano - źle, wieczorem - dobrze, to główna cecha wykolejence. Ale jeżeli jest na odwrót - jeśli rano człowiek budzi się rześki i pełen nadziei, a wieczorem ogarnia go niemożność - to już bez pudła wiadomo, że z niego drań, kombinator i miernota. Mierzi mnie taki facet. Nie wiem, jak was, ale mnie mierzi.

Oczywiście, bywają i tacy, którzy czują się tak samo rano jak wieczorem, cieszą się wschodem słońca i zachodem także się cieszą - ale ci to już po prostu szubrawcy, brzydzi mnie nawet mówienie o nich. Skoro jednak ktoś czuje się jednakowo ohydnie i rano, i wieczorem, to już po prostu sam nie wiem, co o nim powiedzieć; musi to być skończone bydlę i dzwonic. Ponieważ sklepy monopolowe są u nas otwarte do dziewiątej, a Jelisiejewski - nawet do jedenastej, więc jeżeli nie jesteś ostatnią szumowiną, zawsze możesz pod wieczór wznieść się do czegoś, osiągnąć jakąś otchłanną głębię... choćby i głupawą...

A zatem, cóż to ja posiadam?

Wyjąłem z walizeczki wszystko, co miałem, i wszystko obmacałem - od kanapki do różowego wzmocnionego za rubel trzydzieści siedem. Obmacałem i nagle poczułem dogłębny ból. Jeszcze raz obmacałem i zupełnie upadłem na duchu... Panie Boże, otóż Ty widzisz, co posiadam. Ale czy właśnie to jest mi potrzebne? Czyż właśnie za tym tęskni moja dusza? Oto co dali mi tam ludzie, w zamian za tamto, za czym tęskni moja dusza! A gdyby dali mi tamto, czyż potrzebowałbym tego? Spójrz, Panie Boże: oto różowe wzmocnione za rubel trzydzieści

siedem...

I Pan spośród sinych błyskawic odpowiedział mi:

- A na cóż potrzebne są stygmaty świętej Teresie? Jej przecież także one nie są potrzebne. Ale pragnie ich.

- Otóż to właśnie! - odparłem w uniesieniu. - Właśnie! Ja także, ja także pragnę tego, ale ani trochę nie potrzebuję!

- No, skoro pragniesz, Wieniczka, to pij - przyzwoliłem sobie, ale nadal zwlekałem. Powie mi Pan Bóg coś jeszcze, czy nie powie?

Pan Bóg milczał.

No dobrze. Wziąłem ćwiarteczkę i wyszedłem na platformę. Tak. Mój duch dręczył się uwięziony cztery i pół godziny, ale teraz wypuszczę go, niechaj się zabawi. Mam szklankę i mam kanapkę, żeby mnie nie zemdliło. I mam duszę, na razie jeszcze ledwo, ledwo otwartą na doznania egzystencji. Panie! Racz podzielić ze mną stół mój!

Sierp i Młot - Karaczarowo

I niezwłocznie wypilem.

Karaczarowo - Czuchlinka

A kiedy wypilem, sami widzieliście, jak długo krzywiłem się i usiłowałem powstrzymać mdłości, ile nasadziłem diabłów i jakim rzucałem mięsem. Pięć minut, może siedem, a może całą wieczność miotalem się tak pośród czterech ścian, chwyciwszy się za gardło, i błagałem mojego Boga, żeby mnie nie poniżał.

I aż do Karaczarowa, od stacji Sierp i Młot do Karaczarowa, mój Bóg nie był w stanie usłyszeć mojej modlitwy. Wypita szklanka buzowała gdzieś w trzewiach i przewodzie pokarmowym, podchodziła w górę i znów opadała. To było coś jak Wezuwiusz, Herkulanum i Pompeje, jak pierwszomajowy salut w stolicy mojej ojczyzny. A ja cierpiałem i modliłem się.

I oto tuż przed samym Karaczarowem mój Bóg usłyszał mnie i wysłuchał. Wszystko uspokoiło się i przycichło. A jeżeli już coś się we mnie uspokoi i przycichnie, to nieodwracalnie. Możecie mi wierzyć. Szanuję naturę, byłoby nieładnie zwracać naturze jej dary... Tak.

Przyglądałem trochę włosy i wróciłem na miejsce. Pasażerowie patrzyli na mnie prawie obojętnie, okrągłymi, pozbawionymi wyrazu oczami...

Podoba mi się to. Podoba mi się, że ludzie w moim kraju mają takie puste, wybałuszone oczy. To rodzi we mnie uczucie uzasadnionej dumy. Można sobie wyobrazić, jakie oczy mają tam. Tam, gdzie wszystko jest na sprzedaż, gdzie wszystko można kupić - głęboko osadzone, skryte, drapieżne, przerażone oczy... Korupcja, dewaluacja, bezrobocie, pauperyzacja... Patrzą spode łba, z nieukojoną troską i bólem - oto jakie mają ludzie oczy w świecie Pieniądza...

Za to jakie ma oczy mój naród! Wiecznie wybałuszone, ale nie widać w nich żadnego napięcia. Całkowity brak jakichkolwiek doznań - ale za to jaka w nich siła! (Jaka siła ducha!) Te oczy nie sprzedadzą. Niczego nie sprzedadzą i nic nie kupią. Cokolwiek by się stało z moim krajem. W dniach zwątpienia, w dniach bolesnej zadumy, w godzinę jakiejkolwiek próby czy klęski - te oczy nawet nie mrugną. Im tam wszystko ganc pomada...

Podoba mi się mój naród. Jestem szczęśliwy, że urodziłem się i dorastałem pod spojrzeniami tych oczu. Tylko jedno byłoby niedobre: gdyby tak one zauważyły, co ja tam przed chwilą wyprawiałem na platformie... Miotalem się z kąta w kąt jak wielki tragiczny Fiodor Szalapin, z ręką na gardle, jakby mnie coś dusiło!

Zresztą trudno, niech tam. Nawet jeśli ktoś widział - niech tam. A może, dajmy na to, próbowałem jakąś rolę? Tak... W samej rzeczy. Może grałem w nieśmiertelnym dramacie *Otello*, *Maur wenecki*? Odtwarzając od razu sam wszystkie role? Na przykład - sprzeniewierzyłem się sobie, swoim przekonaniom, czy raczej zacząłem się podejrzewać o zdradę samego siebie i swoich przekonań, i samemu sobie nagadałem na siebie, o, i to strasznych rzeczy nagadałem! Tak więc, pokochawszy swoje ja za owe męki jak siebie samego - zacząłem sam siebie dusić. Chwyciłem się za gardło i duszę. A zresztą czego ja tam nie nawyprawiałem!

Ot, siedzi sobie tam na prawo, przy oknie, jakichś dwóch. Jeden tępy ćwok w waciaku. A drugi - mądrała w kowerkotowym płaszczu. I proszę bardzo - nikogo się nie wstydzą, nalewają sobie i piją. Nie biegają na platformę i nie załamują rąk. Tępy wypija, odchrząknie i mówi: „O kurwa, ale gładko poszło!” A mądrała wypija i powiada: „Trans-cen-den-talnie!” I to jakim triumfalnym tonem! Tępy zakąsa i mówi: „Zakąska dzisiaj taka, że proszę siadać! Typu «a niech to szlag»». A mądrała żuje i mówi: „T-a-a-a-k... trans-cen-den-tal-na!”

Niesamowite! Wróciłem na miejsce, siedzę i cierpię z powodu niepewności, za kogo też mnie wzięli - za Maura, czy nie za Maura? Żle o mnie pomyśleli, czy dobrze? A tamci piją z zapalem i bez skrępowania, jak panowie stworzenia piją ze świadomością własnej wyższości nad światem... „Zakąska typu „«a niech to szlag»»,... A ja, zaprawiając rano, kryję się przed niebem i ziemią, dlatego, że to rzecz najintymniejsza z intymnych!... Piję przed rozpoczęciem pracy - chowam się. Piję w czasie pracy - też się ukrywam... A ci!!! „Trans-cen-den-talnie!”

Bardzo mi przeszkadza własna delikatność, to ona wykoślawiła moją młodość. Moje dzieciństwo i wiek pacholęcy... A może ujmijmy sprawę tak: nie chodzi o delikatność, to ja sam po prostu poszerzałem bez granic sferę intymności - ileż razy już mnie to gubiło...

Zaraz wam o tym opowiem. Pamiętam, dziesięć lat temu zamieszkałem w Oriechowie-Zujewie. Kiedy się wprowadziłem, mieszkało tam w pokoju już czterech, ja byłem piąty. Żyliśmy ze sobą jak bracia, nie było żadnych niesnasek. Jeżeli ktoś chciał pić portwajn, wstawał i mówił: „Chłopaki, chcę pić portwajn.” I wszyscy odpowiadali: „Dobra jest. Pij portwajn. Będziemy pić razem z tobą.” Jeżeli ktoś miał smak na piwo, my też mieliśmy smak na piwo.

Było świetnie. Aż raptem zwróciłem uwagę, że tamci czterej jakoś zaczynają mnie unikać, poszeptują coś między sobą na mój widok, pilnują, patrzą za mną, gdy dokądś idę. Dziwiło mnie to, a jednocześnie czułem jakiś lęk... I na ich twarzach odczytywałem podobne zatroskanie i jakby strach... „O co chodzi? - zadręczałem się - co się stało?”

I oto nadszedł wieczór, kiedy zrozumiałem, o co chodzi i co się stało. Pamiętam, że tego dnia nie wstałem z łóżka: wypilem piwa i zrobiło mi się smutno... Po prostu leżałem i smuciłem się.

Nagle widzę: wszyscy czterej dyskretnie mnie obserwują - dwóch siedzi na krzesłach u wezgłowia, a dwóch w nogach. I patrzą mi w oczy, patrzą z wyrzutem, z okrutną zaciętością ludzi, którzy nie mogą zgłębić ukrytej we mnie tajemnicy... Nie, z pewnością coś się musiało stać.

- Wiesz co - powiedzieli - daj ty lepiej z tym spokój.
- Z czym?... - zdumiałem się i nawet z lekka uniosłem głowę.
- A z tym, żeby się uważać za lepszego od innych... Nie myśl, że my to marne pionki, a ty Kain i Manfred...
- Co też wam przyszło do głowy!...
- Właśnie to nam przyszło. Piwo dzisiaj piłeś?

Czuchlinka - Kuskowo

- Piłem.
- Dużo wypieś?
- Dużo.
- No to wstawaj i idź.
- Ale dokąd mam iść?

- Niby to nie wiesz? Wychodzi na to, że my - nędzne robaki i podlece, a ty Kain i Manfred...

- Chwileczkę - mówię - wcale tak nie twierdzę...

- Nie, właśnie że twierdzisz. Odkąd z nami zamieszkałeś, codziennie to potwierdzasz. Nie słowem, ale czynem. A właściwie nie czynem, lecz całkowitym brakiem czynu. Potwierdzasz to negatywnie.

- Jakim znów „czynem”? Jakim „całkowitym brakiem?” - I w kompletnym oszołomieniu otworzyłem szeroko oczy...

- Wiadomo jakim. Do sracza nie chodzisz - ot co! Od razu poczuliśmy: coś tu nie gra. Odkąd z nami mieszkasz, żaden z nas ani razu nie widział, żebyś szedł do wychodka. No, dobra, za dużą potrzebą, to jeszcze można zrozumieć! Ale przecież za małą też ani razu... nawet za małą!

A wszystko to mówili bez uśmiechu, ze śmiertelną obrazą w głosie.

- Ależ chłopaki, źle mnie zrozumieliście...

- Nie, dobrze cię zrozumieliśmy...

- Otóż nie, nie zrozumieliście. Przecież nie mogę, tak jak wy, wstać z łóżka, powiedzieć na cały głos: „No, chłopaki, srać idę!” albo „No, chłopaki idę się odlać!” Nie mogę tak...

- A dlaczego to niby nie możesz? My możemy, a ty nie możesz? Wychodzi na to, żeś lepszy od nas! My zafajdane zwierzaki, a ty czysty jak lilija!

- Ależ nie... Jakby wam to wyjaśnić...

- Nie musisz nam nic wyjaśniać... Wszystko jest jasne.

- Posłuchajcie... zrozumcież... są na tym świecie sprawy...

- Nie gorzej od ciebie wiemy, jakie sprawy są, a jakich nie ma...

I w żaden sposób nie mogłem ich przekonać. Nie było sposobu. Przeszywali mi duszę swoimi ponurymi spojrzeniami... aż zacząłem się poddawać...

- No, oczywiście, ja też mogę... też mógłbym...

- No proszę, to znaczy, że ty możesz tak samo jak my. Ale my tak samo jak ty nie możemy. Ty oczywiście wszystko możesz, a my nic. Ty jesteś Manfred, Kain, a my to mierzwa pod twoimi stopami...

- Ależ nie, skąd. - W końcu zupełnie się zaplątałem. - Są na tym świecie sprawy... są takie sfery... Nie można tak po prostu wstać i pójść. Jest przecież jakaś samokontrola, no, coś takiego, pewien rodzaj wstydlivosti, od czasów Iwana Turgieniewa... dalej - przysięga na Worobiowych Górach... I po czymś takim po prostu wstać ze słowami: „No, chłopaki...” To jakieś poniżające... Przecież jeżeli ktoś ma wrażliwą duszę...

Cała czwórka patrzyła na mnie druzgocącym wzrokiem. Wzruszyłem ramionami i zamilkłem beznadziejnie.

- Ty lepiej zostaw Turgieniewa w spokoju. Mów i nie płacz się. Turgieniewa sami czytaliśmy. Powiedz lepiej: piwo dzisiaj piłeś?

- Piłem.

- Ile?

- Dwa duże, jedno małe..

- No to wstawaj i idź. Żebyśmy wszyscy widzieli, żeś poszedł. Nie poniżaj nas i nie dręcz. Wstawaj i idź.

No cóż, wstałem i poszedłem. Nie po to, żeby sobie ulżyć, ale po to, żeby im ulżyło. A kiedy wróciłem, jeden z nich powiedział: „Z takimi haniebnymi poglądami zawsze będziesz samotny i nieszczęśliwy.”

Tak. Miał absolutną rację. Jasne są dla mnie różne zamysły Boga, ale dlaczego obdarzył mnie takim bezmiarem czystej niewinności, do dziś nie mam pojęcia. A ta niewinność - co najśmieszniejsze - była interpretowana całkowicie opacznie: to właśnie mnie zarzucano nieznajomość elementarnych zasad dobrego wychowania.

Na przykład w Pawłowo-Posadzie. Prowadzą mnie do dam i przedstawiają w następujący sposób:

- Oto właśnie słynny Wieniczka Jerofiejew. Słynie z różnych rzeczy. Ale najbardziej, oczywiście, z tego, że przez całe swoje życie ani razu nie pruknął...

- Co? Ani razu?! - Damy nie posiadają się ze zdumienia i oglądają mnie ze wszystkich stron. - Ani razu?!

Oczywiście, zaczynam być zmieszany. Nie mogę nie być zmieszany w towarzystwie dam. Mówię skromnie:

- Ależ skąd ani razu! Czasem... Mimo wszystko...

- Co?! - Damy są coraz bardziej zdumione. - Jerofiejew i... aż strach pomyśleć... „Czasem... mimo wszystko...!”

Jestem do reszty ogłupiały, próbuję coś bąkać:

- No i cóż w tym takiego, ja... przecież... pruknąć - to przecież całkiem normalne... Nie ma nic fenomenalnego w tym, że się pruka...

- No nie, coś podobnego! - Damy wpadają w osłupienie.

A potem wszyscy trąbią o tym wzdłuż całej linii aż do Pietu-szek:

„On to wszystko robi na głos, i twierdzi, że robi to całkiem n i e ż l e! Że to robi wręcz d o b r z e !”

No proszę. I tak przez całe życie. Całe życie ciąży nade mną ten koszmar - koszmar polegający na tym, że inni rozumieją mnie fałszywie, chociaż nie, „fałszywie” to nie byłoby jeszcze tak źle - oni rozumieją mnie opacznie, to znaczy absolutnie po świńsku, czyli kompletnie antynomicznie.

Mógłbym wiele opowiedzieć na ten temat, ale skoro mam opowiadać wszystko, to będę musiał mówić aż do samych Pietuszek. Lepiej zatem będzie, jeśli nie opowiem wszystkiego, tylko opiszę jeden wypadek, jako że jest on najbardziej aktualny, a dotyczy tego, jak to tydzień temu zdjęto mnie ze stanowiska brygadzysty za „wprowadzenie wadliwego systemu grafików indywidualnych”. Cały nasz moskiewski zarząd trzęsie się ze strachu, warto im przypomnieć o tych grafikach. A zdawałoby się, że nie ma w nich doprawdy nic s t r a s z n e g o.

Dobra! Gdzież to jesteśmy?...

Kuskowo! Minęliśmy Kuskowo bez przystanku! Z takiej okazji warto by gołnąć jeszcze raz, ale będzie lepiej, jak najpierw opowiem,

Kuskowo - Nowogiriejewo

a później dopiero pójść sobie i wypić.

Zatem. W zeszłym tygodniu zdjęli mnie ze stanowiska brygadzysty, a pięć tygodni temu - wyznaczyli. Przez cztery tygodnie, sami rozumiecie, gruntownych zmian człowiek nie wprowadzi, i ja nie wprowadziłem żadnych gruntownych zmian, a jeżeli komuś zdawało się, że wprowadziłem, to jednak wychrzanili mnie nie za te zmiany.

Sprawa zaczęła się dużo prościej. Zanim ja nastąłem, cały proces produkcyjny przedstawiał się następująco: z rana siadaliśmy do gry w durnia, na pieniądze (umiecie grać w durnia?) Tak. Potem wstawaliśmy, odwijaliśmy kabel z bębna, układaliśmy kabel i zasypywali ziemią. A potem - wiadoma sprawa: siadaliśmy i każdy po swojemu zabijał czas wolny, bo przecież, bądź co bądź, każdy ma własne marzenia i odmienny temperament: jeden pił wermut, drugi, skromniejszy - wodę kolońską „Świeżość”, a kto miał większe aspiracje - pił koniak na międzynarodowym lotnisku Szeremietiewo. I waliliśmy się spać.

A nazajutrz było tak: wpierw zasiadaliśmy i piliśmy wermut. Potem wstawaliśmy, aby wyciągnąć spod ziemi wczorajszy kabel i wyrzucić go, ponieważ cały zdążył już oczywiście zmoknąć. A potem - no cóż - potem siadaliśmy do durnia, grać o forszę, i waliliśmy się spać, nie kończąc gry.

Wczesnym rankiem budziliśmy się nawzajem: „Locha! Wstawaj, gramy! Stasik, wstawaj dogrywać wczorajszą partię! Wstawaliśmy i kończyliśmy grę. A potem - przed

świtem, o brzasku, nie popiwszy ani „Świeżości”, ani wermutu - łapaliśmy się za bęben z kablem i zaczynaliśmy go rozwijać, żeby do jutra zamókł i nie nadawał się do niczego. A już potem - każdy na własną rękę spędzał czas wolny, ponieważ każdy ma swoje własne ideały. I wszystko zaczynało się od początku.

Kiedy zostałem brygadzystą, uprościłem ten proces do granic możliwości. Teraz robiliśmy tak: jednego dnia graliśmy w durnia, drugiego dnia piliśmy wermut, trzeciego od nowa rżnęliśmy w durnia, na czwarty dzień od nowa wermut. A kto miał intelektualne ciążoty, ten przepadał z kretesem na lotnisku Szeremietiewo, siedząc i pijąc koniak. Bębna, oczywiście, nawet palcem nie tykaliśmy - ba, gdybym nakazał dotknąć bębna, wszyscy roześmieliby się jak bogowie, potem tłukliby mnie po twarzy pięściami, no a wreszcie rozeszliby się: jedni grać w durnia na pieniądze, drudzy pić wermut, jeszcze inni - „Świeżość”.

Do czasu wszystko szło wspaniale, raz w miesiącu wysyłaliśmy im zobowiązanie, a oni nam dwa razy w miesiącu pobory. Myśmy na przykład pisali: z okazji zbliżającej się setnej rocznicy zobowiązujemy się skończyć z wypadkami przy pracy. Albo tak: z okazji sławnej setnej rocznicy osiągniemy taki poziom, aby co szósty z nas kształcił się zaocznie na wyższej uczelni. Z wypadkami i uczelnią to naturalnie czysty pic, skoro poza durniem świata bożego nie widzieliśmy, a było nas do kupy pięciu.

O, wolności i równości! O, braterstwo i konsumpcjo! O, słodczy braku kontroli! O, rozkoszna poro w życiu mojego narodu - od otwarcia do zamknięcia sklepów.

Odrzucając wstyd i niepotrzebną troskę o dzień jutrzejszy, żyliśmy wyłącznie życiem duchowym. Rozszerzałem horyzonty kumpli w miarę swoich możliwości, a im bardzo się podobało, kiedy je tak rozszerzałem, w szczególności zaś lubili wszystko to, co dotyczyło Izraela i Arabów. Wtedy wpadali w absolutne uniesienie - w uniesienie z powodu Izraela, w uniesienie z powodu Arabów, a już zwłaszcza z powodu wzgórz Golan. Abba Eban i Mosze Dajan nie schodzili im z ust. Wracają rano z dziwek, na przykład, i jeden drugiego pyta: „No i co? Ninka z trzynastki dajan jebban?” A ten odpowiada z uśmiechem samozadowolenia: „A cóż ma, ścierwo, robić? Pewnie, że dajan!”

A potem (słuchajcie), a potem, kiedy dowiedzieli się, jak umarł Puszkina, dałem im do czytania *Słowiczy ogród*, poemat Aleksandra Błoka. Tam, w tym poemacie, jeżeli oczywiście odrzucić wszystkie te rozkoszne odurzające ramiona i nie rozświetlone zorzą mgły, i różowe wieże w szatach z dymów, znajdziemy bohatera lirycznego, zwolnionego z pracy za pijaństwo, dziwki i bumelkę. Powiedziałem im: „To bardzo współczesna literatura - przeczytacie ją z wielką korzyścią dla siebie.” I co? Przeczytali. Ale na przekór oczekiwaniom, podziałała na nich przynębiająco - ze wszystkich sklepów naraz zniknęła „Świeżość”. Nie wiadomo

dlaczego zapomnieli o żartach, międzynarodowy port lotniczy Szeremietiewo także został zapomniany, zatriumfowała natomiast „Świeżość”, wszyscy pili wyłącznie „Świeżość”.

O, beztrosko! O, ptaki niebieskie nie gromadzące w spichlerzach! O, piękniej od Salomona odziane lilie polne! Wychlali cały zapas „Świeżości” od stacji Dołgoprudnaja do międzynarodowego lotniska Szeremietiewo!

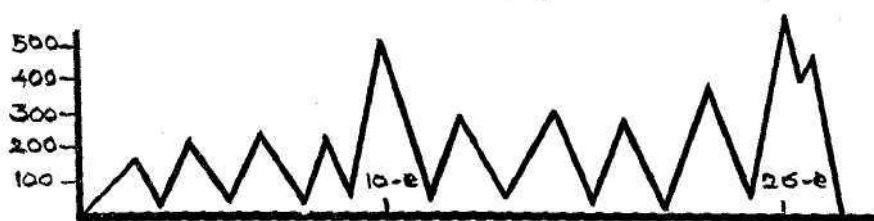
I wtedy właśnie mnie olśniło! Jesteś po prostu tuman, Wieniczka, kompletny dureń! Przypomnij sobie, czytałeś u jakiegoś tam mądrali, że Pan Bóg troszczy się tylko o losy książąt, pozostawiając książętom troskę o los ludu. A ty przecież jesteś brygadzystą, i powinieneś być „małym księciem”. Gdzie twoja troska o losy ludu? Czy zajrzałeś w dusze tych pasożytów? W mroczne zakamarki duszy tych pasożytów? A dialektyka serca tych czterech dzwońców - jest ci znana? Gdybyś ją znał, potrafiłbyś pojąć, co wspólnego ma *Słowiczy ogród* ze „Świeżością” i dlaczego *Słowiczy ogród* nie potrafił współbrzmieć ani z durniem, ani z wermutem, podczas gdy tak wspaniale udawało się to Mosze Dajanowi i Abbie Ebanowi!

I wtedy to właśnie wprowadziłem swoje słynne „grafiki indywidualne”, za które mnie w końcu wychrzanił...

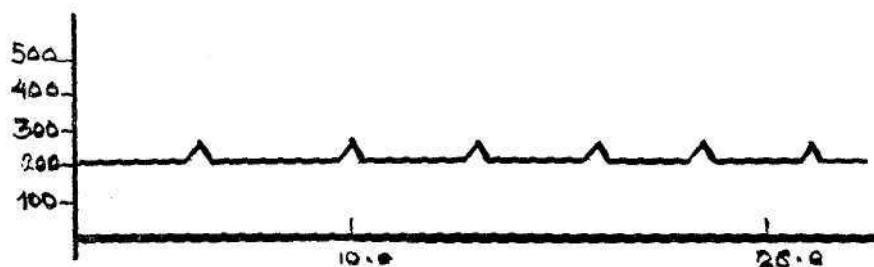
Nowogiriejewo - Rieutowo

Powiedzieć wam, co to były za grafiki? To bardzo proste: na brystolu czarnym tuszem rysuje się dwie osie - jedną poziomą, drugą pionową. Na poziomej zaznacza się kolejno wszystkie dni robocze z ubiegłego miesiąca, a na pionowej - liczbę wypitych gramów w przeliczeniu na czysty alkohol. Brało się pod uwagę, oczywiście, tylko picie w pracy lub przed pracą, ponieważ picie wieczorem stanowiło wielkość dla każdego mniej więcej stałą i dla poważnego badacza nie mogło przedstawiać się interesująco.

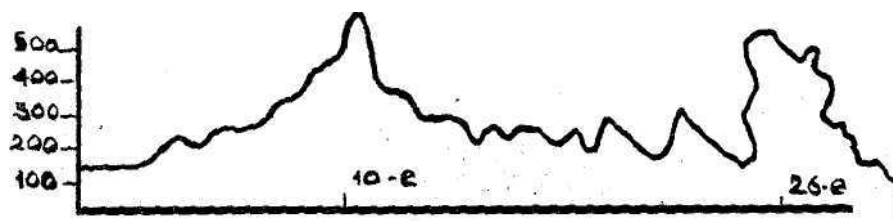
Tak więc, pod koniec miesiąca zgłasza się do mnie pracownik ze sprawozdaniem: takiego a takiego dnia wypito tego a tego tyle i tyle, następnego tyle a tyle tego i tamtego. A ja czarnym tuszem na brystolu przedstawiam to wszystko w postaci pięknego wykresu. Proszę, nacieszcie oko i wy, to na przykład jest grafik komsomolca Wiktora Totoszkina:



A to Aleksiej Blindiajew, członek KPZR od 1936 roku, stary wyliniały pierdziel:



To zaś wasz pokorny sługa, eks-brygadzysta brygady montażystów PTUS-u, autor poematu *Moskwa - Pietuszki*:



Prawda, że interesujące dane? Nawet na pierwszy rzut oka interesujące. U jednego Himalaje, Tyrol, wieże wiertnicze Baku albo nawet wierzchołki kremłowskiego muru, którego zresztą nigdy nie widziałem.

U drugiego bryza w blaskach jutrzeńki, poprzedzająca świt na rzece Karnie, łagodny nurt usiany koralikami falującego odbłasku latarń. U trzeciego - rytm dumnego serca, pieśń o zwiastunie burzy i dziewiąta fala. A wszystko to można odczytać z wykresu.

A temu, kto jest dociekliwy (no, jak na przykład, ja) krzywe te zdradzały wszystko, co tylko można zdradzić, o człowieku i o ludzkim sercu, wszystkie jego walory, od seksualnych do zawodowych, wszystkie chwile załamań zawodowych i seksualnych. I stopień jego zrównoważenia, i skłonność do zdrady, i wszystkie tajemnice jego podświadomości, jeżeli tylko takowe posiadał.

Duszę każdego z tych pacanów mogłem teraz studiować z uwagą, w skupieniu i wytrwale. Ale niezbyt długo oddawałem się temu zajęciu, gdyż pewnego fatalnego dnia z mojego stołu zniknęły wszystkie grafiki. Okazało się, że ten stary pierdoła Aleksiej Blindiajew, członek KPZR od 1936 roku, tego dnia wysyłał do zarządu nasze nowe zobowiązanie, w którym jak zwykle przyrzekaliśmy z okazji nadchodzącej setnej rocznicy być tacy sami w życiu, jak w pracy - i z głupoty czy też w pijackim zamroczeniu do tej samej koperty wsadził też moje indywidualne wykresy.

Gdy tylko zauważyłem, że zniknęły, wypilem i złapałem się za głowę. A tam w zarządzie także, kiedy otrzymali przesyłkę, złapali się za głowy, wypili, i jeszcze tego samego dnia przyjechali moskwczem, wprost na nasz odcinek. Co wykryli, włamując się do naszego kantoru? Nie wykryli nic oprócz Lochy i Stasika. Locha drzemał na podłodze zwinięty w

kłębek, a Stasik rzygał. W ciągu kwadransa zdecydowano o wszystkim - moja gwiazda, świecąca jasnym blaskiem przez cztery tygodnie, dogasała. Ukrzyżowanie nastąpiło równo w trzydzieści dni po wniebowstąpieniu. Jeden tylko miesiąc dzielił mój Tulon od mojej Św. Heleny, krótko mówiąc, pozbawiono mnie funkcji, a na moje miejsce wyznaczono Aleksieja Blindajewa, tego zgrzybiałego przygłupa i obiboka, członka KPZR od 1936 roku. A on natychmiast po otrzymaniu awansu ocknął się na tym swoim kawałku podłogi i poprosił o rubelka, ale tamci mu rubelka nie dali. Stasik przestał rzygać i też poprosił o rubelka - lecz i jemu nie dali. Wypili czerwonego wina, wsiedli do swego moskwicza i odjechali.

Tak więc obwieszczam uroczyście: do końca moich dni nie przedsięwzięm nic takiego, by powtórzyło się moje bolesne doświadczenie z wywyższeniem i upadkiem. Pozostaję na dole, i stąd, z dołu, pluję na całą waszą drabinę społeczną. Tak. Na każdy jej szczebel - jedno splunięcie. Żeby się po niej wspinać, trzeba być kutafąsem, wykutym od stóp do głów z czystej stali. A ja nie jestem taki.

Jakkolwiek było - wychrzanili mnie. Mnie, księcia - wnikliwego analityka, z zamiłowaniem badającego dusze swoich ludzi, mnie, z którego ci z dołu zrobili łamistrajka i kolaboranta, a ci z góry - nie zrównoważonego psychicznie obiboka. Doły nie chciały mnie znać, a góra nie mogła mówić o mnie bez śmiechu. „Góra nie mogła, a doły nie chciały.” Cóż to zwiastuje, pytam was, znawców prawdziwej filozofii historii? Tak, macie słuszość. Przy najbliższej wypłacie będą mnie opłacać zgodnie z zasadami dobra i piękna, a najbliższa wypłata pojutrze - czyli, że pojutrze mnie wypierdzielą.

- *Fuuj!*

- Kto powiedział „fuuj”? To wyście, aniołowie, powiedzieli „fuuj”?

- *Tak, to my powiedzieliśmy „fuuj”. Wienia, jak ty się strasznie wyrażasz!*

- A jak mam, powiedzcie sami, się nie wyrażać!

Przecież to ten bezsens życia tak mnie podłamał, że od tamtego dnia nie przestaję pić. Przedtem też, można powiedzieć, za kołnierz nie wylewałem, ale w każdym razie chociaż pamiętałem, co piłem i w jakiej kolejności, a teraz i tego nie mogę sobie przypomnieć. Wszystko u mnie układa się w ciąg, całe życie przebiega jakimiś ciągami - to przez cały tydzień nie piję, to znów piję przez czterdzieści dni, potem znów cztery dni przerwy, a następnie znów sześć miesięcy piję bez ustanku... Tak jak teraz...

- *Rozumiemy. Wszystko rozumiemy. Wyrzadzili ci krzywdę i twoje wielkie serce...*

Tak, tak, tamtego dnia moje wielkie serce całe pół godziny walczyło z rozsądkiem. Niczym w tragediach Pierre’a Corneille’a, poety laureata - obowiązek walczy z porywem serca. Tylko że u mnie było na odwrót: poryw serca walczył z rozsądkiem i obowiązkiem. Serce mi

mówiło: „Skrzywdzili cię, Wieniczka, podeptali jak mierzwę. Idź, Wieniczka, idź i walnij sobie. Wstań i pójdz, uchlej się jak świnia.” Tak mówiło moje wspaniałe serce. A mój rozsądek? Ten zrzędził i powtarzał natrętnie: „Nie wstaniesz, Jerofiejew, nigdzie nie pójdziesz i nie wypijesz ani kropli”. A serce na to: „No, dobrze, Wieniczka, dobrze. Dużo pić nie musisz, nie trzeba się uchlewać jak świnia: wypij ze cztery setki i starczy.” „Nic z tych rzeczy! - skanduje rozsądek. - A jeżeli już nie możesz się obejść bez tego, idź i wypij trzy kufle piwa, a o swoich setkach, Jerofiejew, nawet nie wspominaj, zapomnij, że w ogóle istnieją.” Ale serce jęknęło: „No, chociaż dwie lufy. No...”

Rieutowo - Nikolskoje

no, chociaż półtorej...” A rozsądek na to: „No, dobrze, Wienia, dobrze, wypij sto pięćdziesiąt gramów, tylko nigdzie nie wychodź, siedź w domu...”

I co myślicie? Że wypilem sto pięćdziesiąt i siedziałem w domu? Cha-cha! Od owego dnia piłem po tysiąc pięćset dzień w dzień, żeby usiedzieć w domu, ale i tak nie usiedziałem. Jako że szóstego dnia nasiąknąłem już tak bardzo, że zniknęła granica pomiędzy rozsądkiem i sercem, które zgodnie na cały głos skandowały, jakby wykuły te słowa na pamięć: „Jedź, jedź do Pietuszek! Pietuszki to twoje zbawienie i szczęście, jedź.”

„Pietuszki to miejsce, gdzie nie milkną ptaki ani w dzień, ani w nocy, gdzie ani zimą, ani latem nie przekwita jaśmin. Grzech pierworodny - choć może istniał - na nikim tam nie zaciążył. Tam nawet ci, którzy nie trzeźwieją tygodniami, mają spojrzenie jasne i głębokie...”

„Tam w każdy piątek, punktualnie o jedenastej, wita mnie na peronie ta dziewczyna o oczach barwy bieli - bieli przechodzącej w białawość - najukochańsza z puszczałskich, płowowłosa diablica. A dzisiaj piątek i za niecałe dwie godziny będzie jedenasta, i będzie ona, i będzie peron, i to białawe spojrzenie, w którym nie ma ni wstydu, ni sumienia. Jedźcie ze mną - och, sami zobaczycie!...”

„Bo i cóż zostawiłem tam, skąd odjechałem, aby jechać przed siebie? Parę prześmierdłych onuc, robocze spodnie, obcęgi i raszplę, zaliczkę i fundusz na koszty administracyjne - oto co zostawiłem! A co przede mną? Co mnie czeka na peronie w Pietuszkach? Na peronie czekają mnie rude rzęsy opuszczone w dół, i rozkołysane kształty, i warkocz od karku aż do pupy. A potem - dziurawcówka i portwajn, rozkosze i spazmy, uniesienia i konwulsje. Królowo Niebieska, jak daleko jeszcze do Pietuszek!”

„A tam, za Pietuszkami, gdzie niebo zlewa się z ziemią i gdzie wilczyca śpiewa gwiazdom - tam to zupełnie co innego, chociaż też to samo: tam w zadymionej i zawszonej

izbie, o której nie wie tamta, białooka, rośnie mój maleńki synek, najpulsniejszy i najpotulniejszy ze wszystkich dzieciaków. Zna już literę «U» i w nagrodę za to oczekuje ode mnie orzechów. Kto z was, mając trzy lata, znał literę «U»? Wy i teraz nie znacie jej jak należy. A on ją zna, i nie oczekuje za to żadnej innej nagrody oprócz kwarty orzechów.”

- Pomódlcie się za mnie, aniołowie. Niech będzie jasną moja droga, niechaj się nie potknę o kamień, niech ujrzę miasto, za którym tyle razy dręczyła mnie tęsknota. Ale tymczasem, przepraszam was, tymczasem, przypilnujcie mojej walizeczki, a ja na dziesięć minut się oddalę. Muszę koniecznie napić się kubańskiej, dla potrzymania mego płomiennego porywu.

Tak więc znów wstałem i minąwszy pół wagonu, wróciłem na platformę.

A piłem już nie tak jak przed Karaczarowem, o nie, teraz piłem bez mdłości i bez kanapki, prosto z gwinta, odchylając głowę niczym pianista, w pełni świadom podniosłości tego, co się dopiero zaczyna i co wkrótce ma się ziścić.

Nikolskoje - Sałtykowskaja

Bokiem ci wyjdzie te trzynaście łyków - pomyślałem przy trzynastym.

Sam przecież wiesz, że druga z kolei poranna lufa, jeśli pić ją z gwinta - zamroczy duszę, co prawda, nie na długo, jedynie do trzeciej lufy, wypitej ze szklanki - ale mimo wszystko zamracza. Czyżbyś tego nie wiedział?

No trudno. Niechaj jasny będzie twój jutrzejszy dzień. Niechaj twoje jutro będzie świetlane. Ale dlaczegoż to tak frasują się aniołowie, jeśli bodaj słówkiem napomkniesz o radościach, które cię czekają na pietuszkowskim peronie i później?

Co oni sobie myślą? Że mnie tam nikt nie powita? Że nikt tam nie wyjdzie mi na spotkanie? Albo że pociąg runie z nasypu? Albo że w Kupawnie wysadzą mnie kontrolerzy? Czy też że gdzieś tam na sto piątym kilometrze zasną pijany, i śpiącego uduszą mnie jak chłopaczka? Albo zarzną jak dziewczynkę? Dlaczego aniołowie frasują się i milczą? Moje jutro jest jasne. Tak. Nasze jutro jest jaśniejsze od naszego wczoraj i naszego dzisiaj. Ale któż zaręczy, że nasze pojutrze nie będzie gorsze niż nasze przedwczoraj?

Otóż właśnie! Dobrześ to, Wieniczka, ujął. Nasze jutro i tak dalej. Bardzo zręcznie i rozumnie to sformułowałeś, rzadko mówisz tak składnie i mądrze.

Bo w ogóle to nie masz zbyt wiele oleju w głowie. Co, i o tym też nie wiedziałeś? Pogódź się, Wieniczka, przynajmniej z tym, że twoja dusza jest pojemniejsza niż twój rozum. A zresztą po co ci rozum, jeśli masz sumienie, i na dodatek jeszcze dobry smak? Sumienie i dobry

smak, to już tak dużo, że mózg staje się po prostu zbędny.

A kiedyś po raz pierwszy zauważył, Wieniczka, że dureń z ciebie?

Zaraz powiem. Wtedy kiedy usłyszałem jednocześnie dwa skrajnie różne zarzuty: że jestem nudny i lekkomyślny. Bo jeżeli człowiek jest rozumny i nudny, to nie dopuści się lekkomyślności. A jeżeli jest lekkomyślny i mądry - nie pozwoli sobie na to, aby być nudziarzem. Ja zaś, niedojda - jakoś potrafiłem to połączyć.

A powiedzieć wam dlaczego? Dlatego że mam chorą duszę, tylko nie daję tego poznać po sobie. Dlatego że odtąd, odkąd siebie pamiętam, wciąż robię wszystko, aby symulować zdrowie duchowe, i wszystkie (bez reszty) siły umysłowe, fizyczne i inne na to zużywam. Z tego właśnie powodu jestem nudny. Wszystko, o czym rozmawiacie, wszystko, co wypełnia wasze powszednie dni, jest mi nieskończenie obojętne. Tak. Ale o tym, co mnie interesuje - o tym nie powiem nigdy nikomu ani słowa. Może ze strachu, żeby nie wyjść na stukniętego, a może z innych powodów, tak czy owak - nie powiem ani słowa.

Pamiętam, że już bardzo dawno temu, kiedy zaczynano w mojej obecności jakąś rozmowę albo błahy spór, mówiłem: „Eee, że też chce się wam rozprawiać o takich głupstwach!” A tamci dziwili się i odpowiadali: „O jakich znów głupstwach? A jeżeli nawet to są głupstwa, co wobec tego nie jest głupstwem?” A ja mówiłem: „O, nie wiem, nie wiem! Ale na pewno coś takiego istnieje!”

Nie twierdzę, że teraz znam prawdę albo że jestem blisko niej. Wcale nie. Ale na taką odległość już do niej podszedłem, że mogę dokładnie jej się przyjrzeć.

Więc patrzę, widzę, i dlatego jestem pełen bólu. I nie wierzę, żeby jeszcze ktoś z was nosił w sobie tę najbardziej gorzką mieszaninę; z czego ona się składa - zbyt trudno opisać, a wy przecież i tak tego nie zrozumiecie, ale najwięcej jest w niej bólu i strachu. Powtórzmy więc jeszcze raz. Otóż najwięcej jest w niej bólu i strachu, a także niemocy. I każdego dnia rano „moje wielkie serce” tłoczy ową miksturę i pławi się w niej do wieczora. Wiem, że innym zdarza się to wówczas, kiedy ktoś nagle umiera, jeżeli najbliższa istota na świecie nagle umiera. Ale ze mną jest przecież tak zawsze! Przynajmniej to zrozumcie!

Więc jak nie mam być nudny i jak mam nie pić kubańskiej! Uczciwie na to zasłużyłem. Wiem lepiej od was, co znaczy „kosmiczny smutek” - to nie wymysł, puszczone w obieg przez dawnych pisarzy. Ja sam noszę go w sobie, wiem, co to takiego, i nie chcę tego ukrywać. Trzeba nabrać zwyczaju śmiałego mówienia ludziom prosto w oczy o własnych zaletach. A któż, jeśli nie my sami, może wiedzieć lepiej, jak bardzo jesteśmy dobrzy?

Na przykład: czy widzieliście *Nieutulony ból* Kramskiego? No pewnie, widzieliście. Tak więc, gdyby w pobliżu tej zastygłej w bólu księżnej czy też bojarzyni jakiś kot strącił coś

akurat na podłogę - no, powiedzmy, czarkę z sewrskiej porcelany, albo rozszarpał na strzępy drogi peniuar - to co? Podniosłaby rwetes i zaczęła machać rękami? Nigdy w życiu, jako że to wszystko jest dla niej jedną wielką bzdurą: być może, inaczej będzie za dwa, trzy dni, ale teraz jest ona ponad wszystkie peniuary, koty i sewrską porcelanę!

No więc co? Nudna jest ta książka? Jest nieprawdopodobnie nudna, dziwne by było, gdyby ktoś oceniał ją inaczej! A czy jest lekkomyślna? Tak, w najwyższym stopniu!

I podobnie jest ze mną. Teraz zrozumieliście, dlaczego jestem smutniejszy od wszystkich innych zaprawiaków? Dlaczego jestem lekkomyślniejszy od wszystkich idiotów, a jednocześnie bardziej ponury od ostatniego łajna? Dlaczego jestem głupcem, demonem, a zarazem zwykłą papłą, gadułą?

To bardzo dobrze, żeście wszystko zrozumieli. Wypijmy za zrozumienie - mamy jeszcze resztkę kubańskiej, no prędzej, z gwinta, szybko wypijmy.

Zobaczcie, jak to się robi!...

Saltykowskaja - Kuczino

Resztką kubańskiej bulgotała mi jeszcze trochę w przełyku, dlatego też, kiedy usłyszałem z niebios:

- *Czemuś wszystko wychlał, Wienia? To za dużo...* - Krztusząc się, z ledwością potrafiłem odpowiedzieć:

- We wszystkich zakątkach ziemi... we wszystkich zakątkach ziemi, od Moskwy aż do Pietuszek - nie ma nic takiego, czego byłoby dla mnie za dużo... Więc czemu się o mnie boicie, aniołowie Pańscy?

- *Boimy się, że znów...*

- *Że znów zacznę się wyrażać?* O nie, nie, po prostu nie miałem pojęcia, że nieustannie mi towarzyszycie, bo nie zacząłbym tak wcześniej... Z każdą chwilą staję się coraz szczęśliwszy, i jeżeli teraz zacznę używać mocniejszych wyrażań, to będą one jakoś szczęśliwiej dobrane... jak w wierszach niemieckich poetów: „Ja wam pokażę tęczę!”, albo: „A idźcie wy do jasnych pereł!” I nic więcej... Jacyście wy głupi. Głupiutcy.

- *Nie, nie jesteśmy głupi. Po prostu boimy się, że znów nie dojedziesz...*

- *Dokąd nie dojadę?! Nie dojadę do tych cholernych Pietuszek! Do niej nie dojadę? Do mojej bezwstydnej królowej o oczach jak obłoki? Aleście śmieszni doprawdy.*

- *Nie, nie jesteśmy śmieszni, boimy się, że do niego nie dojedziesz, i że on nie dostanie orzechów...*

- Ależ skąd, co wy! Niech skonać... co wy! W zeszły piątek - istotnie; w zeszły piątek toona mnie nie puściła, nie pozwoliła pojechać do niego... Rozkleiłem się, aniołowie, w zeszły piątek, na jej biały brzuch się zapatrzyłem, krążyły jak niebo i ziemia... Ale dzisiaj - dojadę, jeśli tylko nie zdechnę z wyroku losu... Chociaż nie, dzisiaj nie dojadę, dzisiaj będę u niej, będę do rana paść się pomiędzy liliami, ale już jutro...

- *Biedny malec.* - westchnęli aniołowie. „Biedny malec?” Dlaczego to „biedny”? A powiedzcie mi, aniołowie, będziecie mi towarzyszyć do samych Pietuszek? Tak? Nie odleciecie?

- *O nie, do samych Pietuszek nie możemy... Odlecimy, jak tylko się uśmiechniesz. Jeszcze dzisiaj ani razu się nie uśmiechnąłeś; jak tylko uśmiechniesz się pierwszy raz - odlecimy i już będziemy o ciebie spokojni.*

- Ale tam na peronie, powitacie mnie, tak?

- *Tak, tam cię powitamy...*

Czarujące istoty ci aniołowie! Tylko dlaczego „biedny malec”? Nie jest wcale biedny! Czyż dzieciak znający literę „U” jak swoje własne pięć palców, dzieciak kochający ojca jak siebie samego - może potrzebować współczucia?

Dobrze, w porządku, w poprzedni piątek był chory i wszyscy martwili się o niego... Ale przecież natychmiast poczuł się lepiej - jak tylko mnie zobaczył!... Tak, tak... Boże miłosierny, spraw, aby nic mu się złego nie stało, żeby nigdy nic złego mu się nie stało!...

Spraw, Panie, żeby on, jeśli nawet spadnie z ganku albo z pieca, nie złamał sobie ani ręki, ani nogi. Jeśli jego wzrok padnie na nóż czy brzytwę, niech się nimi nie bawi, podsuń mu, Panie, inne zabawki. Jeśli jego matka rozpała w piecu - a on bardzo lubi, kiedy jego matka rozpała w piecu - odciągnij go w inną stronę, jeżeli możesz. Ciężko mi myśleć, że się poparzy... A jeżeli zachoruje - niechaj polepszy mu się na sam mój widok, niechaj mu się od razu polepszy...

Tak, tak. Kiedy przyjechałem ostatnim razem, powiedzieli mi: śpi. Powiedzieli mi: jest chory i leży z gorączką. Piłem cytrynowkę przy jego łóżeczku, zostawili nas samych. Rzeczywiście miał gorączkę, nawet dołeczek na jego policzku był rozpalony od gorączki, i było naprawdę zdumiewające, że coś tak małego może w ogóle mieć gorączkę...

Wypiłem trzy szklanki cytrynowki, jeszcze zanim się przebudził i popatrzył na mnie trzymającego czwartą szklankę w ręce... Bardzo długo gawędziłem z nim wtedy i mówiłem:

- Wiesz co, chłopcze? Nie umieraj... Sam pomyśl (umiesz już przecież narysować literkę, a więc możesz samodzielnie myśleć): to bardzo głupio umierać, znając tylko jedną literkę „U” i nic więcej... Jesteś przynajmniej w stanie zrozumieć, że to głupio?

- Rozumiem, tato...

Jak on to powiedział! Wszystko bowiem, co mówią oni - nieśmiertelni aniołowie i umierające dzieci - wszystko to jest tak pełne znaczenia, że zapisuję ich słowa kursywą i spacją, wszystko zaś, o czym mówimy my - zwykłą małą czcionką, jako że są to większe albo bzdury. „R o z u m i e m, t a t o !”

- Jeszcze wyzdrowiejesz, chłopcze, i znów będziesz tańczyć w rytm mojej „farandoli prosięcej” - pamiętasz? Kiedy miałeś dwa lata,

tańczyłeś ją. Muzyka ojca i słowa także. „Tam takie miłe, śmieszne dia-bląt-ka szczypały-drapały-kąsały mój brzuszec...” A ty wzięwszy się pod bok jedną rączką, drugą wymachiwałeś chusteczką i skakałeś niczym maleńki głuptasek... „Od lutego już kwękałam i stękałam, w końcu sierpnia nóżki wyciągnęłam...” Kochasz ojca, chłopcze?

- Bardzo kocham...

- No więc nie umieraj... A jak nie umrzesz i przyjdiesz do siebie, znów mi coś zatańczysz... Ale nie, nie farandolę. Tam są zupełnie nieodpowiednie słowa: „A pod koniec sierpnia nóżki wyciągnęłam...” To się nie nadaje. Dużo lepiej będzie tak: „Raz-dwa - butki-obuwaj, jak-ci-nie-wstyd - hej-wstawaj!”... Cóż, ja mam szczególne powody, aby lubić to świństwo...

Dopiłem czwartą szklankę i rozrzewniłem się:

- Gdy ciebie nie ma, chłopcze, jestem straszliwie samotny... Rozumiesz?... Biegałeś po lesie tego lata, tak?... Więc na pewno pamiętasz, jakie tam rosną sosny?... Otóż ja jestem taki jak sosna... Sosna jest wysoka, strasznie wysoka i samotna, okropnie samotna - i ja również... Ona, tak jak i ja - patrzy tylko w niebo, tego, co ma pod nogami, nie widzi i nie chce widzieć... Jest zielona i wiecznie będzie zielona, póki nie upadnie. Podobnie ja - dopóki nie padnę, będę wiecznie zielony...

- Zielony - powtórzył malec.

- No, weźmy taki na przykład dmuchawiec. Ten wciąż się chwieje i osypuje na wietrze, aż żal na niego patrzeć... Tak samo ja: czyż się nie osypuję? Czy to nie obrzydliwe patrzeć, jak na całe dnie zamieniam się w puch mieciony wiatrem?...

- Obrzydliwe - powtórzył za mną chłopiec i uśmiechnął się błogo...

Otóż i ja teraz, wspominając to jego „o b r z y d l i w e”, uśmiecham się błogo. I widzę - z daleka machają mi aniołowie i odlatują ode mnie, tak jak zapowiedzieli.

Kuczino - Żeleznodorożnaja

Ale najpierw mimo wszystko do niej. Najpierw - do niej! Zobaczyć ją na peronie, z warkoczem od pupska aż do karku, i spurpurowieć z podniecenia i rozpalić się, i nasycić do oporu, i paść się pomiędzy liliami - długo, aż do śmiertelnego wyczerpania.

Bransolety, dajcie, naszyjniki,
jedwab, perły, aksamit, diamenty,
Chcę się dzisiaj odziać jak królowa,
Chcę być piękna, bo mój król powrócił!

Ta dziewczyna to wcale nie dziewczyna! Ta kusicielka to nie dziewczyna, to ballada w tonacji As-dur! Ta kobieta, to ryże ścierwo - to nie kobieta, lecz czarodziejski napój! Spytacie: gdzieś ty ją, Wieniczka, wynalazł, skąd się wzięła ta ryża suka? I czy w Pietuszkach w ogóle można znaleźć coś dobrego?

- Można! - odpowiadam wam, i mówię to tak głośno, że aż wstrząsa się i Moskwa, i Pietuszki. W Moskwie - nie, w Moskwie nie można, ale w Pietuszkach - tak! No i co z tego, że „suka”? Za to suka - wcielenie harmonii! A jeżeli chcecie wiedzieć, gdzie i jak ją wynalazłem, jeżeli was to interesuje, posłuchajcie, bezwstydnicy, wszystko wam opowiem.

W Pietuszkach, jak już wam mówiłem, jaśmin nie przekwita i ptasi świergot nie milknie. Tak było i tego dnia, równo dwanaście tygodni temu, były ptaszki i był jaśmin. I jeszcze były urodziny, nie wiadomo czyje. A oprócz tego morze alkoholu: dziesięć butelek, dwanaście butelek, a może i dwadzieścia pięć. Było też wszystko, czego może zapragnąć człowiek, który wypił tyle alkoholu - naprawdę wszystko - od piwa kufłowego do butelkowanego. A co jeszcze? - spytacie - co było jeszcze?

Było jeszcze dwóch facetów i trzy podcięte lafiryndy, jedna bardziej pijana od drugiej, pełno dymu, wrzasku i wyplatanie różnych bredni. Nic poza tym nie było.

A ja doprawiałem i piłem, doprawiałem rosyjską żygulewskim piwem i patrzyłem na te trzy kreatury, coś w nich widząc. Co to było konkretnie, nie potrafiłbym powiedzieć, i dlatego doprawiałem i piłem, dzięki temu jeszcze wyraźniej to coś widziałem, więc znowu doprawiałem i piłem, i tak dalej.

Ale jakieś sprzężenie zwrotne w tym patrzeniu wyczułem tylko u jednej, tylko u jednej! O rude rzęsy, dłuższe niż włosy na waszych głowach! O, niewinne ślepie! O, bieli przechodząca w białawość! O, czarnoksiężskie sztuczki i gołębie skrzydła!

- Czyżby to był Jerofiejew? - Nachyliła się lekko w moją stronę, opuściła rzęsy i znów je podniosła...

- No oczywiście! A któżby!

(O, wcielenie harmonii! Jak się domyśliła?!)

- Czytałam jedną pańską rzecz. I wie pan - nigdy bym nie pomyślała, że na pięćdziesięciu stronach można pomieścić tyle bredni. To ponad ludzkie siły!

- Doprawdy, aż tak? - mile pochlebiony, doprawiłem i łknąłem. - Jeżeli pani chce, zmieszczę jeszcze więcej! O wiele więcej!...

Od tego się zaczęło. To znaczy, od tej chwili urwał mi się film i nastąpiła trzygodzinna przerwa w życiorysie. Co piłem? O czym rozmawiałem? W jakich proporcjach mieszałem piwo z wodą? Może nie byłoby tej przerwy w życiorysie, gdybym po prostu pił, nie mieszając. Ale było, nie było - ocknąłem się po trzech godzinach: siedziałem za stołem, doprawiałem i piłem.

I nie było nikogo oprócz nas dwojga - nikogo. A ona - obok, śmieje się ze mnie jak niewinne dziecko. Pomyślałem: „Niesłychane! Oto kobieta, której do dzisiejszego dnia ścisnęła pierś jedynie przecucia. Oto kobieta, której nikt przede mną nawet puls nie wymacał. O, błogie mrowienie w duszy i wszędzie indziej!”

A ona tymczasem wzięła szklanę i wypila jeszcze setkę. Wypila stojąc, odrzuciwszy głowę niczym pianistka. Wypila, chuchnęła i wszystko, co w niej było święte, uleciało - uleciało wraz z oddechem. A potem wygięła się po kurewsku i wprawiła w falisty ruch biodra - a było to tak plastyczne i wyraziste, że nie mogłem patrzeć na nią bez drżenia...

Oczywiście, zapytacie, wy, pozbawieni sumienia bezwstydnicy. „I cóż, Wieniczka? Czy ?” No i co wam na to odpowiedzieć? Oczywiście, że !

A któż jak nie ona. !

Prosto w twarz mi powiedziała: „Chcę, żebyś mnie mocno objął prawą ręką!” Cha-cha. „Mocno i prawą ręką?!” A ja już byłem tak naprany, że nie tylko pragnąłem mocno ją objąć, ale również dotknąć jej ciała, ale nie mogłem, bo co chwila trafiałem obok...

No cóż! Żongluj krągłymi biodrami! - pomyślałem, doprawiłem i wypilem. - Żongluj, uwodzicielko! Igraj ze mną, Kleopatro! Baw się, bujnociała dziwko, dręcząca serce poety! Wszystko, co mam, wszystko co m o ż e mam - rzucam dziś na biały ołtarz Afrodyty!

Tak rozmyślałem. A ona - śmiała się. A ona - podeszła do stołu i wypila duszkiem jeszcze sto pięćdziesiąt, albowiem była doskonała, a doskonałość nie zna granic...

Żeleznodorożnaja - Czernoje

wypila - i strząsnęła z siebie jakiś łasek. „Jeżeli zrzuci - myślałem - jeśli w ślad za tym zrzuci również bieliznę - ziemia zadrży, a kamienie ozwą się krzykiem.”

I powiedziała: „No co, Wieniczka, czy dobrze się mnie ?” A ja,

unicestwiony pragnieniem, oczekiwałem bez tchu na grzech. I odrzekłem jej: „Równo trzydzieści lat żyję na tym świecie... ale jeszcze ani razu nie widziałem, żeby ktoś się tak dobrze!”

Jak się teraz zachować? Mam być tkliwy, czuły? Czy też władczy i grubiański? Diabli wiedzą, nigdy właściwie nie wiem, jak postępować z pijaną babą... Dotychczas - mam wam o tym mówić? - dotychczas kiepsko znałem i te trzeźwe, i te zalane. Ścigałem je myślą, ale gdy tylko zwracałem się ku nim sercem, myśl w przerażeniu stawała dęba.

Byłem przepełniony sprzecznościami. Z jednej strony, podobało mi się, że mają wcięcie w pasie (my nie mamy żadnego wcięcia), budziło to we mnie jakby rozczulenie, czy coś w tym rodzaju. No tak, budziło to we mnie rozczulenie. Ale z drugiej strony, przecież to one zaciukały Marata scyzorykiem, a Marat był nieprzekupny i nie należało go zarzynać. To już zabijało wszelką czułość. Owszem, tak jak Karolowi Marksowi, podobały mi się ich słabe strony, czyli na przykład to, że muszą kucać przy siusianiu, i napelniało mnie to, no, czym? Czyżby znów rozczuleniem? No tak, przepełniało mnie to rozczuleniem. Ale z drugiej strony, przecież one do Iljicza strzelały z nagana! A to ponownie zabijało moją tkliwość. Chcesz sobie kucać - kucaj, ale po co do Iljicza z nagana strzelać? Byłoby śmieszne w takim wypadku mówić o rozczuleniu... Ale odbiegłem od tematu.

A więc jak się mam zachować teraz? Być surowym czy ujmującym? Ale to ona sama dokonała wyboru, przechylając się i gładząc mnie po policzku bokiemy stopy. Było w tym coś z prowokacji, swawoli i z delikatnej zniewagi. I w przesłanym końcami palców pocałunku też

coś było. A potem - ta mglista, sucza białosc w żrenicach, bielsza niż biała gorączka i siódme niebo. I jak niebo i ziemia - brzuch. Gdy tylko ujrzałem jej brzuch, nieomal załkałem z natchnionego podziwu, zrobiło mi się słabo i dygotałem na całym ciele. Nagle wszystko się przemieszało: i róże, i lilie, i - całe w drobnych kędziorkach, wilgotne i pulsujące - wrota do Edenu, i kompletne zapamiętanie, i rude włosy. O, ten spazm jej wnętrza! O, bezwstydne ślepie! O, nierządniczo z oczami jak obłoki! O, rozkoszny pępku!

Wszystko się przemieszało, po to tylko, aby znów się zacząć na nowo, aby powtarzać się w każdy piątek i nie wychodzić z mego serca ani z głowy. Wiem, że i dzisiaj będzie to samo, takie samo odurzenie i takie samo zgubne zapamiętanie w grzechu...

Powiecie: a cóż ty, Wieniczka, myślisz, że ona ma tylko jednego takiego, co ją przywodzi do grzechu?

A co mnie to obchodzi! A tym bardziej was! Niech sobie będzie niewierna! Starość i wierność pokrywają gębę zmarszczkami, a ja, na przykład, nie mam ochoty, żeby miała zmarszczki na gębie. Niech sobie będzie niewierna, oczywiście, nie tak całkiem „niech”, ale

niech. Za to cała jest utkana z tkliwości i aromatów. Jej po chamsku obrabiać nie należy - ją należy jedynie wdychać. Kiedyś próbowałem policzyć wszystkie jej najtajniejsze, czarowne miejsca, i nie mogłem się doliczyć - doszedłem do dwudziestu siedmiu, i tak ogłupiałem z rozkoszy, że chlapnąłem żubrówki i porzuciłem ten rachunek.

Ale najpiękniejsze ze wszystkiego są oczywiście jej ramiona. Zwłaszcza wtedy, kiedy je unosi, śmieje się zachwycona i mówi: „Ech, Jerofiejew, ty grzeszny fiucie!” O, diablica! Czyż można nie wdychać jej zapachu?

Zdarzało się, oczywiście, zdarzało, że była również jadownicie kąśliwa, ale to bez znaczenia - jedynie w celu samoobrony i z jeszcze jakichś tam babskich powodów - słabo się na tym wyznaję. W każdym razie, kiedy już ją rozgryzłem do końca, nie znalazłem w niej żadnego jadu - wyłącznie maliny ze śmietaną. W któryś piątek na przykład, kiedy żubrówka mnie już zupełnie rozebrała, powiedziałem jej:

- Wiesz co, przeżyjmy całe życie razem! Zawiozę cię do Łobni, odzieżę w purpurę i najcieńsze płótno, popracuję trochę w telefonach, a ty będziesz sobie coś wachać, dajmy na to, lilie. Jedźmy!

Na to bez słowa pokazała mi figę. A ja w upojeniu przytknąłem ową figę do swoich nozdrzy, westchnąłem i wyszlochałem:

- Ale dlaczego?... Dlaczego?...

Wtedy pokazała mi drugą figę! I tę również uniosłem do nozdrzy, zamknąłem oczy i wyłkałem:

- Ale dlaczego? Zaklinam cię - odpowiedz dlaczego? Wówczas ona też rozplakała się i zawisła mi na szyi.

- Ty wariacie! Przecież sam wiesz dlaczego! Sam wiesz dlaczego, obłąkańcze!

Dalej - prawie w każdy piątek - powtarzało się to samo: i łyzy, i figi, ale dzisiaj - dzisiaj coś się rozstrzygnie, jako że dzisiaj mamy piątek, i to trzynasty z rzędu. I coraz bliżej do Pietuszek. Królowo Niebieska!...

Czernoje - Kupawna

Chodziłem po platformie straszliwie zdenerwowany i cały czas paliłem, paliłem...

- I po tym wszystkim mówisz, że jesteś samotny i nikt cię nie rozumie? Ty, który masz t y l e w duszy, i tyle poza nią! Ty, który masz taką w Pietuszkach! I takiego za Pietuszkami! Ty jesteś samotny!?...

- Nie, nie, już nie jestem samotny i niezrozumiany, właśnie mija dwanaście tygodni,

odkąd mnie zrozumiano. Wszystko, co było - minęło. Ot, pamiętam, jak stuknęło mi dwadzieścia lat - byłem wtedy beznadziejnie samotny. Sam dzień urodzin był również przygnębiający. Przyszedł do mnie Jurij Pietrowicz, przyszła Nina Wasiljewna, przynieśli butelkę stolicznej i słoik gołąbków - a ja poczułem się tak samotny, tak nieprawdopodobnie samotny z powodu tych gołąbków i stolicznej, że nie chcąc płakać - zapłakałem...

A kiedy stuknęła mi trzydziestka, zeszłej jesieni? Kiedy stuknęła mi trzydziestka, dzień był również ponury jak wtedy. Przyszedł do mnie Boria z jakąś na wpół obłąkaną poetką, przyszedł Wadia z Lidą, przyszli Lodik z Wołodią. I przynieśli - cóż oni mi przynieśli? - dwie butelki stolicznej i dwa słoje faszerowanych pomidorów. Owładnęła mną taka rozpacz, taka udręka z powodu tych pomidorów, że chciałem się rozplakać - ale już nie mogłem...

Czy to znaczy, że w ciągu tych dziesięciu lat stałem się mniej samotny? Nie, bynajmniej. A więc to znaczy, że przez ten czas, przez owe dziesięć lat, moja dusza zrobiła się niewrażliwa? A serce stwardniało? Nic podobnego. Raczej na odwrót. Ale zapłakać jednak nie potrafiłem...

Dlaczego? Będę mógł wam to wyjaśnić chyba dopiero wtedy, kiedy znajdę dla tego zjawiska jakąś analogię w świecie piękna. Jeżeli, dajmy na to, spokojny człowiek wypije siedemset pięćdziesiąt gramów - staje się rozhukany i wesoły. Ale jeśli trzaśnie jeszcze siedemset? Czy stanie się jeszcze bardziej rozhukany i radosny? Nie, znów będzie wyciszony. Patrząc z boku, będzie można nawet uznać, że nieco wytrzeźwiał. Ale czy to oznacza, że wytrzeźwiał? W żadnym wypadku - jest już pijany jak świnia i właśnie dlatego jest taki spokojny.

Całkiem podobnie ze mną: nie zrobiłem się ani bardziej samotny przez te trzydzieści lat, ani serce mi nie stwardniało - wręcz przeciwnie. Ale jeżeli popatrzeć na to z boku, to oczywiście...

Ale teraz jest inaczej, t e r a z - nic tylko żyć i żyć! Życie wcale nie jest nudne! Nudno żyło się jedynie Mikołajowi Gogolowi i królowi Salomonowi. A jeżeli już przeżyliśmy trzydzieści lat, trzeba spróbować przeżyć jeszcze trzydzieści, tak, tak. „Człowiek jest śmiertelny” - twierdzą. Więc skoro już się urodziliśmy - trudno, trzeba trochę pożyć... „Życie jest piękne” - tak uważam.

A czy wy w ogóle macie pojęcie, ile jest na świecie tajemnic, jakie przepastne głębiny pozostają jeszcze nie zbadane, i co to za pole do popisu dla tych, których pociągają owe tajemnice! Weźmy chociażby taki prosty przykład: jeżeli wypiełeś wczoraj, założmy, siedemset pięćdziesiąt, a rano nie miałeś okazji wypić klina - bo praca itp. - i dopiero po południu, przesnuwszy się sześć albo siedem godzin, wałęsałeś w końcu, żeby zrobić ci się lżej na duszy

(no, ile, powiedzmy, sto pięćdziesiąt) - to dlaczego nie jest ci źle? Dlaczego mdłości, które towarzyszyły ci od rana, po tych stu pięćdziesięciu gramach zmieniły się w mdłości drugiej kategorii, w mdłości wstydliwe, i dlaczego policzki robią ci się czerwone niczym u dziwki, a pod oczami masz sińce, jakbyś poprzedniego dnia nie wypił wcale swoich siedmiuset pięćdziesięciu, tylko zamiast tego brał po pysku przez cały wieczór? Dlaczego?

Powiem wam dlaczego. Dlatego że człowiek padł ofiarą sześciu czy siedmiu godzin pracy. Trzeba po prostu umieć wybierać sobie pracę, złej pracy nie ma. Nie ma złych zawodów, należy uszanować każde powołanie. Trzeba zaraz po przebudzeniu czegoś się napić. Nie, łąć, nie „czegoś” tylko dokładnie tego, co się piło wczoraj; pić należy z przerwami trwającymi około czterdziestu - czterdziestu pięciu minut, tak aby do wieczora wypić o dwieście pięćdziesiąt gramów więcej niż w przeddzień. A wtedy nie poczujesz ani mdłości, ani wstydliwego skrępowania, oblicze zaś będziesz miał tak blade, jakbyś już od pół roku nie dostał po mordzie.

Otóż sami widzicie, ile jest w przyrodzie złowieszczych i radosnych zagadek, ile białych plam wszędzie!

Tymczasem ta bezmyślna młodzież, która ma nas zastąpić, rzekłbyś, w ogóle nie zauważa tajemnic bytu. Brakuje jej rozmachu i inicjatywy, wątpię też, czy ma cokolwiek we łbach.

Cóż może być szlachetniejszego niż, na przykład, przeprowadzenie eksperymentów na samym sobie? Ja będąc w ich wieku robiłem tak: w czwartek wieczorem wypijałem za jednym zamachem trzy i pół litra piwa z wódką - wypijałem i waliłem się spać w ubraniu, z jedną tylko myślą: obudzę się jutro, w piątek, czy też się nie obudzę?

A jednak nie budziłem się w piątek rano. Budziłem się rano, ale w sobotę, bez butów, i nie w Moskwie, tylko pod nasypem kolejowym w okolicy Naro-Fomińska. A potem - potem z wysiłkiem przypominałem sobie i gromadziłem fakty, a kiedy je już zgromadziłem - zestawiałem. Zestawiwszy, zaczynałem od nowa wysilać pamięć, analizując wszystko wnikliwie. A następnie przechodziłem od postrzegania do abstrakcji, innymi słowy, z rozmysłem się zaprawiałem i w końcu dochodziłem do tego, gdzie i co robiłem w piątek.

Od dzieciństwa, niemal od kołyski, moim ulubionym wyrażeniem było „śmiało dążyć naprzód”, i Bóg mi świadkiem, dążyłem, jak umiałem. Jeżeli i wy pójdziecie w moje ślady, trafi was szlag albo trzaśnie paraliż. Chociaż nie - gdybyście dążyli tak śmiało naprzód, jak ja dążyłem w waszym wieku, pewnego pięknego poranka nie obudzilibyście się. A ja budzę się co dzień, budzę się i znów śmiało podążam naprzód...

Oto przykład: w osiemnastym roku życia, czy coś koło tego, zauważyłem, że od

pierwszej lufy do piątej włącznie staję się coraz silniejszy, silny nie do pokonania, ale za to już od szóstej

Kupawna - 33 kilometr

do dziewiątej - stopniowo słabnę. Słabnę tak dalece, że po dziesiątej przymykają mi się oczy; tego również nie mogę pokonać. I cóż o tym myślałem w swojej naiwności? Myślałem: trzeba się przełamać, całą siłą woli przemóc senność i wałnąć jedenastą lufę - wtedy, być może, nastąpi nowy przypływ sił. Tymczasem nie, nic podobnego. Nie ma o czym gadać. Żadnego nowego przypływu, próbowałem.

Łamałem sobie głowę nad tą zagadkę trzy lata, codziennie łamałem sobie nad nią głowę i codziennie po dziesiątej lufie zasypiałem.

A przecież wszystko znalazło bardzo proste wyjaśnienie: okazuje się, że jeżeli już wypiliście piątą lufę, szóstą, siódmą, ósmą i dziewiątą należy wypić od razu, każdą jednym haustem - ale wypić w sposób idealny, to znaczy tylko w wyobraźni. Innymi słowy, należy największym wysiłkiem woli powstrzymać się i nie wypić ani szóstej, ani siódmej, ani ósmej, ani dziewiątej.

Po tej przerwie trzeba złapać się bezpośrednio za dziesiątą, i dokładnie tak samo jak dziewiątą symfonię Antoniego Dworzaka (faktycznie dziewiątą) umownie nazywa się piątą, dokładnie tak samo i wy umownie nazwijcie swoją szóstą dziesiątą, a utwierdźcie się w przekonaniu, że teraz będziecie odczuwać już tylko przypływ sił, poczynawszy od szóstej (dziesiątej) aż do dwudziestej ósmej (czyli trzydziestej drugiej) - a zatem do tej granicy, za którą zaczyna się obłąd i zezwierzęcenie.

Nie, słowo honoru, gardzę pokoleniem, które podąża za nami. Wzbudza ono we mnie lęk i obrzydzenie. Maksym Gorki nie napisze o nich pieśni, szkoda gadać. Nie twierdzę, że my w ich wieku wlekliśmy za sobą ciężkie brzemię świętości. Uchowaj Boże! Świętości tośmy mieli akurat tyle co nic, ale za to ile wartości, na które n i e p l u l i ś m y, podczas gdy oni plują na wszystko.

Dlaczego nie mieliby spróbować na przykład czegoś takiego: ja w ich wieku piłem z dużymi przerwami - popiję, popiję - przestanę, znów popiję - przestanę. Dlatego też nie potrafię osądzić, czy poranna depresja jest głębsza, jeśli staje się codziennym nawykiem, to znaczy, jeżeli od szesnastego roku życia pijesz po czterysta pięćdziesiąt gramów, zaczynając o siódmej wieczorem. Oczywiście, gdyby ktoś przywrócił mi moje młode lata i gdybym zaczął życie od początku, ja bez wątpienia spróbowałbym to zgłębić - ale przecież nie oni!

Nie oni!

Ale czyż tylko o to chodzi! A ile niewiadomego kryją w sobie inne sfery ludzkiego życia! Otóż wyobraźcie sobie na przykład: jednego dnia od rana do wieczora pijecie wyłącznie czystą wódkę i nic więcej, na drugi dzień - wyłącznie czerwone wino. Pierwszego dnia koło północy stajecie się niemal opętani, jesteście tak rozplómiennieni, że dziewczyny mogą skakać przez was jak przez ogień w noc świętojańską. I jasne, do czego się doskaczą, jeżeli od rana do nocy będziecie pili wyłącznie czystą wódkę.

A jeżeli od rana do nocy piliście tylko wzmacniane czerwone wino? To dziewczyny nawet skakać przez was nie będą chciały w noc świętojańską. Albo odwrotnie: dziewczyna sobie usiadzie, a wy przez nią nie będziecie mogli przeskoczyć, nie mówiąc o czymś więcej. Oczywiście, w wypadku jeśli od rana do nocy będziecie pili tylko czerwone wino!...

Tak, tak! A jak frapująco zapowiadają się inne wąsko specjalistyczne eksperymenty! Na przykład, czkawka. Mój krajan, przygłup Sołouchin, zabiera was do lasu, żebyście zbierali solone rydzyki! A, pluńcie na jego solone rydzyki! Lepiej zajmijmy się czkawką, to znaczy badaniem pijackiej czkawki w jej aspekcie matematycznym...

- Litości! - krzyczą do mnie ze wszystkich stron. - Czy doprawdy na świecie oprócz tego nie ma już nic, co mogłoby...

- Otóż właśnie: nie ma! - krzyczę i ja na wszystkie strony. - Nie ma nic oprócz tego! Nie ma nic takiego, co mogłoby!... Nie jestem durniem, rozumiem, że są jeszcze na świecie psychiatrzy, jest pozagalaktyczna astronomia, w porządku, tak, to jest!

Ależ przecież wszystko to nie jest nasze, rodzime, we wszystko to wpakowali nas Piotr Wielki i Mikołaj Kibalczyk, a przecież nasze powołanie tkwi w czymś zupełnie innym! Znajdziecie je tam, dokąd was przywiodę, jeżeli tylko nie zaczniecie stawiać oporu! Powiecie: „Powołanie to jest nikczemne i fałszywe.” A ja wara powiem, ja wam znów powtórzę: „Nie ma fałszywych powołań, każde powołanie trzeba szanować.”

A zresztą tfu... pluję na wasze głowy! Lepiej zostawcie jankesom astronomię pozagalaktyczną, a Niemcom psychiatrię. Niechaj wszelka hołota w rodzaju Hiszpanów chodzi gapić się na swoją corridę, niechaj podlec Afrykańczyk buduje swoją tamę assuańską, niech buduje, podlec, i tak ją wiatr rozniesie, niech Włosi się udławiają swoim belcantem, niech...

A my, powtarzam, zajmijmy się czkawką.

33 kilometr - Elektrougli

Po to, aby rozpocząć nad nią badania, trzeba ją, rozumie się, wywołać: albo *an sich*

(termin Immanuela Kanta), czyli wywołać ją u siebie, albo wywołać ją u kogoś innego, ale we własnym interesie, to znaczy *fur sich* (termin Immanuela Kanta). Najlepiej oczywiście: *an sich* i *fur sich*, a mianowicie tak: przez dwie godziny pod rząd pijcie jakiś mocny alkohol, starą nalewkę na dziurawcu albo myśliwską. Pijcie dużymi szklankami, co pół godziny szklanka, unikając, o ile to możliwe, wszelkich zakąsek. Jeśli to jest dla kogoś zbyt trudne, może pozwolić sobie na minimalną zakąskę, ale zupełnie niewyszukaną:

czerstwawy chleb, śledź korzenny, zwykły marynowany lub w sosie pomidorowym.

Potem zróbcie godzinną przerwę. Nic nie jedzcie, nic nie pijcie, rozluźnicie mięśnie i odprężcie się.

Zobaczycie - nie minie godzina, a ona sama przyjdzie. Kiedy czkniecie po raz pierwszy, zadziwi was nieoczekiwana gwałtowność tego pierwszego czknięcia. Następnie - niepokonana siła drugiego, trzeciego etc. Ale jeśli nie jesteście idiotami, przestańcie się dziwić i zapisujcie na kartce, w jakich odstępach czasu raczą występować wasze czknięcia - oczywiście mierząc w sekundach:

osiem - trzynaście - siedem - trzy - osiemnaście. Będziecie oczywiście próbowali doszukać się jakiegokolwiek prawidłowości, choćby w przybliżeniu. Jeżeli mimo wszystko jesteście idiotami, spróbujecie wyprowadzić nawet jakiś kretyński wzór czy formułę, żeby jako tako móc prognozować długość trwania następnego interwału. Proszę bardzo. Życie i tak unicestwi wszystkie wasze idiotyczne konstrukcje:

siedemnaście - trzy - cztery - siedemnaście - jeden - dwadzieścia - trzy - cztery - siedem - siedem - osiemnaście.

Mówi się, że przywódcy światowego proletariatu, Karol Marks i Fryderyk Engels, skrupulatnie analizowali kolejność formacji społecznych i na tej podstawie potrafili wiele przewidzieć. Tutaj jednak byliby bezsilni, nie mogąc przewidzieć niczego nawet w minimalnym stopniu. Wkroczyliście z własnej woli w sferę fatalizmu - pogódźcie się więc z tym i bądźcie cierpliwi. Życie wyszyci zarówno waszą elementarną, jak i wyższą matematykę:

- trzynaście - piętnaście - cztery - dwanaście - cztery - pięć - dwadzieścia osiem.

Czyż nie tak samo następują po sobie wzloty i upadki, uniesienia i klęski w życiu każdego człowieka, bez najmniejszych bodaj pretensji do jakiegokolwiek regularności? Czyż nie tak samo chaotycznie następują po sobie katastrofy w dziejach ludzkości? Reguły są ponad nami. Czkawka zaś - ponad wszelkimi regułami. I tak jak poraził was niedawno jej nagły początek, tak wprowadzi was w zdumienie jej koniec, którego, niczym śmierci, nie jesteście w stanie przewidzieć, ani któremu nie jesteście w stanie zapobiec:

- dwadzieścia dwa - czternaście - koniec. I cisza.

A w tej ciszy wasze serce mówi wam: ona jest niezbadana, a my bezradni. Jesteśmy całkowicie pozbawieni wszelkiej wolnej woli, pozostajemy we władzy dowolności, która nie ma nazwy i przed którą nie ma także ratunku.

Jesteśmy drżącymi, słabymi stworzeniami a o n a - jest wszechmocna. Ona jest prawicą Bożą, która unosi się nad nami wszystkimi i przed którą nie chcą pochylić głowy jedynie krety i szuje. O n jest niedosiężny dla umysłu, a więc istnieje.

Zatem bądźcie doskonali, jak doskonały jest Ojciec Niebieski.

Elektrougli - 43 kilometr

Tak, więcej pijcie, mniej zakąszajcie. To najlepszy sposób na zarozumialstwo i powierzchowny ateizm. Spójrzcie tylko na czkającego bezbożnika: rozkojarzony, pociemniały na twarzy, męczy się i budzi obrzydzenie. Odwróćcie się od niego, spluńcie i popatrzcie na mnie, kiedy zacznę czkać - ja, wierzący w przeznaczenie i nie myślący o żadnym buncie, ja ufam w to, że On jest dobrem, i dlatego sam jestem dobrem i jasnością.

On jest dobrem. On prowadzi mnie od cierpienia ku światłu. Z Moskwy do Pietuszek. Poprzez męki na Kurskim, poprzez katharsis w Kuczynie, poprzez senne majaki w Kupawnie - ku światłu i Pietuszkom. *Durch Leiden - Lichtl.*

Chodziłem po platformie w jeszcze strasliwszym podnieceniu. I cały czas paliłem... i cały czas paliłem. I nagle - myśl jasna jak błyskawica poraziła mój mózg:

- Co by tu jeszcze wypić, żeby i tego porywu nie ugasić? Co mam wypić w Imię Twoje?...

Prawdziwa rozpacz! Nie mam nic takiego, co byłoby Ciebie godne. Kubańska to straszne świństwo! A rosyjska - po prostu śmieszne wspominać przy Tobie o rosyjskiej. Nie mówiąc o różowym wzmocnionym za rubel trzydzieści siedem! Boże!...

O nie, jeśli dodadę dzisiaj do Pietuszek w dobrej formie, to przyrządzę taki koktajl, który bez wstydu można będzie pić w obecności Boga i ludzi. Nazwę go „Wody Jordanu” albo „Gwiazda Betlejemską”. A gdybym w Pietuszkach o tym zapomniał - przypomnijcie mi.

Nie śmiecie się. Mam bogate doświadczenie w przyrządzaniu koktajli. Wzdłuż całej trasy od Moskwy do Pietuszek do dziś piją, nie znając nazwiska wynalazcy, „Balsam Kanański”, piją „Łzę komsomołki” i dobrze robią, że piją. Nie można czekać na zmiłowanie przyrody. Aby zdobyć konieczne składniki, trzeba oczywiście, znać dokładne receptury; jeśli chcecie, dam wam je. Słuchajcie.

Pić wódkę, nawet z gwinta - nie ma w tym nic prócz udręczenia duszy i próżnej fatygi.

Mieszać wódkę z wodą kolońską - to znana fantazja, ale nie ma w tym żadnej wzniosłości. Wypić natomiast szklankę „Balsamu Kanaańskiego” - w tym jest i fantazja, i myśl, i wzniosłość, i w dodatku nuta metafizyczna.

Który z komponentów „Balsamu Kanaańskiego” cenimy najwyżej? No, oczywiście, denaturat. Jednakże denaturat, będąc tylko przedmiotem natchnienia, sam tego natchnienia jest całkowicie pozbawiony. Cóż wobec tego cenimy w denaturacie najwyżej? Naturalnie walory czysto smakowe. A jeszcze wyżej miazmaty, które wydziela. Ażeby te miazmaty wydzielić, potrzebna jest chociażby odrobina aromatu. Z tej to przyczyny do denaturatu wlewa się w proporcji 1:2:1 ciemne piwo, najlepiej ostankińskie albo „Senator”, i oczyszczoną politurę.

Nie będę wam przypominać, jak oczyszcza się politurę, wie o tym każde dziecko. Nie wiadomo dlaczego nikt w Rosji nie wie, jak umarł Puszkina - ale jak oczyszcza się politurę, wszyscy wiedzą.

Krótko mówiąc, zanotujcie receptę na „Balsam Kanaański”. Człowiekowi dane jest tylko jedno życie, i powinien je przeżyć tak, by nie popełniać błędów w recepturze. A zatem:

Denaturat - 100 g

Ciemne piwo - 200 g

Oczyszczona politura - 100 g

I oto macie przed sobą „Balsam Kanaański” (zwany potocznie „czarnuchą”) - płyn istotnie jest czarnobrunatnego koloru, o umiarkowanej mocy i trwałym zapachu. To właściwie nie zapach, lecz hymn. Hymn młodzieży demokratycznej. Dlatego że w tych, którzy wypili ten koktajl, wyzwala się wulgarność i mroczne siły. Ileż razy to obserwowałem!...

Żeby wyzwalać się owych mrocznych sił choćby w minimalnym stopniu powstrzymać, mamy dwa sposoby. Pierwszy - nie pić „Balsamu Kanaańskiego”, a drugi - pić zamiast niego koktajl „Duch Genewy”.

Nie jest to bynajmniej trunek szlachetny, ale ma za to odpowiedni bukiet. Spytać mnie: w czym tkwi zagadka tego bukietu? A ja odpowiem: nie mam pojęcia, w czym tkwi zagadka tego bukietu. Wtedy zastanowicie się i spytaacie: a jakie jest rozwiązanie? Rozwiązanie jest takie, że „Białego bzu”, który jest jednym ze składników „Ducha Genewy”, nie należy zastępować niczym innym ani jaśminem, ani szyprem, ani konwalia. „W świecie komponentów nie ma ekwiwalentów” - jak mówili dawni alchemicy, a oni wiedzieli, co mówią. Otóż „Srebrzysta konwalia” to nie „Biały bez”, również w aspekcie moralnym, nie mówiąc już o bukiecie.

„Konwalia” na przykład pobudza umysł, niepokoi sumienie, umacnia poszanowanie prawa. A „Biały bez” przeciwnie - uspokaja sumienie i godzi człowieka z parszywością życia.

W moim przypadku było tak: wypilem całą buteleczkę „Srebrnej konwalii”, usiadłem i zapłakałem. Dlaczego zapłakałem? Dlatego że przypomniałem sobie mamę, to znaczy, przypomniałem sobie mamę i nie mogłem o niej zapomnieć. „Mamo” - mówię. I płaczę. A potem znów: „Mamo” - i dalej płaczę. Ktoś inny, głupszy ode mnie, siedziałby tak i płakał. A ja? Ja wziąłem flakon „Bzu” - i wypilem. I co myślicie? Łzy obeschły, chwycił mnie idiotyczny śmiech - a mama? Zapomniałem nawet jej imienia i jak się nazywała po ojcu.

Dlatego śmieszy mnie ten, kto przygotowując „Ducha Genewy”, do patrzy na mnie, patrzy wywalając gały i krzywiąc gębę...

Słuchajcie,- oto dokładny przepis:

Biały bez - 50 g

Środek przeciw poceniu się nóg - 50 g

Piwo żygulewskie - 200 g

Lakier spirytusowy - 150 g

Ale skoro człowiek nie ma ochoty na to, by bezsensownie trutować wszechświat, niech pośle do wszystkich diabłów i „Balsam Kanański” i „Ducha Genewy”. Będzie znacznie lepiej, jak usiądzie przy stole i przygotuje sobie „Łzę komsomołki”. Aromatyczny i tajemniczy w działaniu jest ten koktajl. Dlaczego aromatyczny, dowiecie się później. Na wstępie wyjaśnię, dlaczego jest tajemniczy.

Ten, kto po prostu wali wodę, zachowuje zdrowy rozsądek i niezawodną pamięć, albo na odwrót - traci od razu jedno i drugie. W przypadku „Łzy komsomołki” po prostu śmiech człowieka bierze.

Wypijasz sto gramów „Łzy” - i pamięć zachowujesz niezawodną, a zdrowego rozsądku jakbyś nigdy nie miał. Walisz jeszcze sto - i sam się sobie dziwisz, skąd się w tobie wzięło tyle zdrowego rozsądku? I gdzie się podziała niezawodna pamięć?

Nawet sam przepis „Łzy” jest aromatyczny. A zapach gotowego koktajlu może na chwilę pozbawić człowieka zmysłów i uczucia. Mnie na przykład pozbawił. Proszę:

Lawenda - 15 g

Werbena - 15 g

„Woda leśna” - 30 g

Lakier do paznokci - 2g

Eliksir do płukania ust - 150 g

Lemoniada - 150 g

Przygotowany w taki sposób napój należy mieszać przez dwadzieścia minut gałązką wiciokrzewu. Inni wprawdzie twierdzą, że w nagłym przypadku można zastąpić wiciokrzew

powojem, jest to jednak absolutnie niedopuszczalne, nic błędniejszego. Możecie mnie pokrajać na kawałki, ale za nic nie zmusicie, abym mieszał „Łzę komsomołki” powojem, będę ją mieszał tylko wiciokrzewem. Po prostu pękam ze śmiechu, kiedy na moich oczach ktoś miesza „Łzę” nie wiciokrzewem, lecz powojem...

No, ale dość już o „Łzie”. Teraz przepis ostatni i najlepszy. „Koniec wieńczący dzieło to najlepsza nagroda” - jak pisał poeta. Krótko mówiąc, proponuję wam koktajl „Suczy bebech”. Napitek zaćmiewający wszystko. To już nie napitek - to muzyka sfer. Co jest najpiękniejsze na świecie? Walka o szczęście ludzkości. Ale jeszcze piękniejszy od niej jest właśnie ów napój (zanotujcie):

Piwo żygulewskie - 100 g

Szampon „Sadko” - 30 g

Rezol - środek przeciwko łupieżowi - 70 g

Klej BF - 13 g

Płyn hamulcowy - 30 g

Dezynsektal - preparat owadobójczy - 20 g

Robi się z tego nalewkę na tytoniu z cygar i po tygodniu - podaje się na stół...

Dostawałem listy, w których szanowni czytelnicy sugerowali, by otrzymaną w ten sposób nalewkę przecedzić jeszcze przez durszlak. To znaczy - wylać wszystko na durszlak i położyć się spać... I diabli wiedzą, co jeszcze, ale wszystkie te poprawki i uzupełnienia wynikają z braku wyobraźni. Tak, stąd się właśnie biorą...

I tak „Suczy bebech” został podany na stół. Pijcie go wraz z pojawieniem się na niebie pierwszej gwiazdy, dużymi łykami. Już po dwóch szklankach tego koktajlu człowiek staje się tak uduchowiony, że można podejść do niego i przez bite pół godziny z odległości półtora metra pluć mu w pysk, a on nawet słowa nie powie.

43 kilometr - Chrapunowo

Czy zdążyliście przynajmniej coś zanotować? No cóż, na razie wystarczy... A w Pietuszkach - w Pietuszkach obiecuję podzielić się z wami tajemnicą „Wód Jordanu”, jeżeli oczywiście dojadę żywy - z łaski boskiej.

No, a chwilowo pomyślmy lepiej, co mógłbym teraz wypić. Jaką kompozycję można stworzyć z tych nędznych resztek, które zostały w mojej walizeczce? „Pocałunek cioci Kławy”? Chyba tak. Z mojej walizeczki żadnych innych pocałunków się nie wycisnie oprócz „Pierwszego pocałunku” i „Pocałunku cioci Kławy”. Wyjaśnić wam, co to „Pocałunek”? A

więc, innymi słowy, „Pocałunkiem” nazywam zmieszane w proporcji pół na pół każde czerwone wino z każdą wódką. Przypuśćmy, wytrawne wino gronowe plus pieprzówka albo kubańska - to jest „Pierwszy pocałunek”. Mieszanina samogonu z trzydziestotrzyprocentowym portwajnem to „Wymuszony pocałunek” lub prościej - „Pocałunek bez miłości”, albo jeszcze prościej „Inessa Armand”. Sporo jest różnych „Pocałunków”! I żeby tak po nich nie mdliło, trzeba się do tych „Pocałunków” przyzwyczajać od dziecka.

Mam w walizeczce kubańską. Ale nie mam wytrawnego wina gronowego. To znaczy, że „Pierwszy pocałunek” odpada, mogę jedynie o nim pomarzyć. Ale mam w walizeczce półtorej ćwiartki rosyjskiej i różowe wzmocnione - rubel trzydzieści siedem flaszka. A takie połączenie daje nam „Pocałunek cioci Kławy”. Zgadzam się z wami: ma dość mizerne walory smakowe i w najwyższym stopniu działa wymiotnie, znacznie bardziej nadaje się do podlewania fikusa niż do picia z gwinta, racja, ale cóż robić, skoro nie ma ani wytrawnego wina, ani fikusa? Pozostaje jedynie walnąć sobie „Pocałunek cioci Kławy”...

Wróciłem do wagonu, aby połączyć całe to gówno w jeden „Pocałunek”. O, jak dawno tutaj nie byłem! Odkąd wyszedłem w Nikolskiem...

Podobnie jak zeszłym razem, patrzyła na mnie dziesiątkami oczu, ogromnych, gotowych na wszystko, wyłazących z orbit, patrzyła mi w twarz moja ojczyzna, wyłaząca z orbit, gotowa na wszystko i ogromna. Wtedy, po stu pięćdziesięciu gramach rosyjskiej, podobały mi się te oczy. Teraz, po półlitrze kubańskiej, byłem zakochany w tych gałach, zakochany jak wariat. Zatoczyłem się nieco wchodząc do wagonu, ale doszedłem do swojej ławki całkowicie samodzielnie i na wszelki wypadek uśmiechając się z lekka...

Doszedłem i osłupiałem. Gdzie moja ćwiartka rosyjskiej? Gdzie ta ćwiarteczka, którą pod Sierpem i Młotem ledwo co obciągnąłem do połowy? Od Sierpa i Młota stała sobie obok walizeczki, a było w niej jeszcze prawie sto gramów - gdzież ona teraz?

Omiotłem wzrokiem wszystkich - nikt nawet nie mrugnął. No nie - jestem absolutnie zakochany, zakochany do szaleństwa. Kiedy odlecieli aniołowie? Przecież zawsze pilnowali walizeczki, kiedy się oddalałem. Kiedy mnie opuścili? Koło Kuczina? Tak. To znaczy, że dokonano kradzieży pomiędzy Kuczinem a 43 kilometrem. Podczas gdy ja dzieliłem z wami moje uniesienia, gdy wtajemniczałem was w sekrety bytu - właśnie wtedy pozbawiono mnie „Pocałunku cioci Kławy”... W swojej świętej naiwności przez cały ten czas ani razu nie zajrzałem do wagonu - istna komedia... Ale teraz koniec z naiwnością, jak powiedział dramaturg Ostrowski - *finka la commedia*. Nie każda naiwność jest święta. I nie każda komedia - boska... Koniec z łapaniem ryb w mętnej wodzie - pora łapać ludzi!...

Ale jak łapać i kogo?

Cholera wie, w jakim nastroju dojadę do Pietuszek...

Od samej Moskwy cały czas były eseje filozoficzne i memuary, cały czas była poezja prozą, niczym u Iwana Turgieniewa... Teraz zaczyna się powieść detektywistyczna Zająrzałem do wnętrza walizeczki, czy aby wszystko jest tam na swoim miejscu. Tak, wszystko było na swoim miejscu. Ale gdzie te sto gramów? I kogo łapać?...

Spojrzałem w prawo - wciąż siedziało tam tych dwóch, tępak i mądrała. Tępy w waciaku już dawno się urąbał i śpi. A mądry w kowerkotowym płaszczu siedzi naprzeciwko tępola, usiłując go obudzić. Ale robi to jakoś tak brutalnie - łapie tamtego za guzik i do oporu przyciąga go ku sobie, jakby naciągał cięciwę, a potem puszcza; wtedy tępy w waciaku leci na poprzednie miejsce, wbijając się w oparcie ławki niby tępa strzała Amora w serce...

„Trans-cen-den-talni...” - pomyślałem. Ciekawe, jak długo ten go tak?... Nie, ci dwaj ukraść nie mogli. Jeden z nich jest, co prawda, w waciaku, a drugi nie śpi - co oznacza, że w zasadzie obaj mogliby ukraść. Ale przecież jeden z nich śpi, a drugi ma kowerkotowy płaszcz, to znaczy, że ani jeden nie mógł ukraść, ani drugi...

Spojrzałem za siebie - nie, tam też nie zauważyłem nic takiego, co mogłoby podsunąć wredną myśl; dwoje ludzi nasuwa wprawdzie pewne myśli, ale zupełnie inne. Bardzo dziwna ta para - on i ona. Siedzą po dwóch stronach wagonu pod przeciwległymi oknami i najwidoczniej się nie znają. Ale mimo to są do siebie dziwnie podobni: on w kurtce i ona w kurtce, on ma brązowy beret i wąsy - ona też ma wąsy i brązowy beret.

Przetarłem oczy i jeszcze raz spojrzałem za siebie... Zdziwiające podobieństwo, a w dodatku oboje przyglądają się sobie nawzajem z zaciekawieniem i złością... Jasna sprawa, oni nie mogli ukraść.

A przede mną? Spojrzałem przed siebie.

Przedemną to samo - równie dziwna dwójka - dziadzius i wnuczek. Wnuczek o dwie głowy wyższy od dziadziusia i od urodzenia niedorozwinięty. Dziadzius - o dwie głowy niższy, ale także niedorozwinięty. Obaj patrzą mi prosto w oczy i oblizują się...

„Podejrzane” - pomyślałem. Dlaczego się tak oblizują? Inni przecież także patrzą mi w oczy, ale nikt się przy tym nie oblizuje! Bardzo podejrzane... Zacząłem się im przyglądać tak samo badawczo jak oni mnie.

Nie, nie, wnuczek to absolutny kretyn. Nawet szyć ma inną niż wszyscy, jego szyja nie wrasta w tułów, ale wyrasta z niego, przechodząc w potylicę razem z obojczykami. I oddycha wnuczek jakoś tak idiotycznie: najpierw wydech, a potem wdech, podczas gdy u wszystkich ludzi jest na odwrót: najpierw wdech, a dopiero potem wydech. I patrzy na mnie, patrzy wywalając gały i krzywiąc gębę...

A dziadziś patrzy z jeszcze większym natężeniem, patrzy niczym w lufę działa. Tak niebieskimi, tak zapuchniętymi oczyma, że aż mu z obu na raz, niby z dwóch topielców, cieknie jakaś wydzielina i kapie prosto na buty. I w ogóle wygląda tak, jakby już dostał czapę: łysa głowa też jest jakaś martwa. Cała morda ospowata, wygląda jak po bliskim ostrzale. A na samym środku ryja - obrzmiały i siny nochał, obwisły i rozkołysany niczym stary wisielec...

„Barrrdzo podejrżane” - pomyślałem raz jeszcze. I unosząc się z miejsca, przyzwałem ich do siebie kiwnięciem palca.

Obaj natychmiast zerwali się i rzucili ku mnie, nie przestając się oblizywać. „To też jest dziwne - pomyślałem - zerwali się właściwie odrobinę przedwcześnie, zanim kiwnąłem palcem...”

Poprosiłem, żeby usiedli naprzeciwko.

Usiedli, z bliska gapiąc się na moją walizeczkę. Wnuczek usiadł jakoś dziwnie. Wszyscy siadamy na tyłku, ale on usiadł naprawdę dziwacznie - biorąc się pod boki, wysuwając lewą łopatkę i jakby ofiarowując jedną nogę mnie, a drugą dziadkowi.

- Jak się nazywasz, ojczulku, i dokąd jedziesz?...

Chrapunowo - Jesino

- Mitricz się nazywam. A to mój wnuczek, także Mitricz... Jedziemy do Oriechowa, do parku... pokręcić się na karuzeli...

A wnuczek dodał:

- I-i-i-i.

Niezwyčajny był to dźwięk, i cholernie mi przykro, że nie potrafię go odpowiednio przekazać. Wnuczek nie mówił, lecz skrzeczał. I właściwie nie robił tego ustami, gdyż jego usta była cały czas zaciśnięte i zaczynały się bodaj gdzieś z tyłu. Wydawał dźwięki lewym nozdrzem, i to z takim wysiłkiem, jakby lewe nozdrze unosił za pomocą prawego. „I-i-i-i-i-i, jak szybko jedziemy do Pietuszek, słynnych Pietuszek...” „I-i-i-i-i-i, jaki dziadziunio pijany, dobry dziadziunio...”

- Ta-a-ak. A więc, powiadasz, na karuzeli?...

- Na karuzeli.

- A może nie na karuzeli?...

- Na karuzeli - raz jeszcze potwierdził Mitricz swym głosem skazańca, a wydzielina z jego oczu wciąż ciekła...

- Powiedz no mi, Mitricz, coś ty tutaj robił, kiedy ja byłem na platformie? Kiedy

pograżałem się tam w rozmyślaniach? W rozmyślaniach o swoim uczuciu do ukochanej kobiety? No? Powiedz...

Mitricz niby to nie drgnął, a jednak jakoś się spłoszył.

- Ja... nic. Po prostu chciałem się napić kompotu... Kompotu z białym chlebem...

- Kompotu z białym chlebem?

- Kompotu z białym chlebem.

- Doskonale. To znaczy było tak: ja sobie stoję na platformie, pograżony bez reszty w myślach o uczuciu. A wy w tym czasie myśkujecie, czy aby w pobliżu mojego miejsca nie znajdzie się kompot i biały chleb? A nie znalazłszy kompotu...

Tu już dziadzius nie zdzierzył i rozplakał się. A w ślad za nim wnuczek - jego górna warga w ogóle zniknęła, a dolna zwisała aż do pępka, niczym włosy u pianisty... Obaj płakali...

- Rozumiem was, owszem. Wszystko mogę zrozumieć, jeżeli zechcę wybaczyć... Mam duszę, jak koń trojański brzuch, dużo się w niej pomieści. Wszystko wybaczę, jeśli będę miał ochotę zrozumieć. I - rozumiem: po prostu chcecie kompotu i białego chleba. Ale na mojej ławce nie znajdujecie ani jednego, ani drugiego. Tak więc po prostu jesteście zmuszeni wypić bodaj to, co znaleźliście - zamiast tego, na co macie ochotę...

Przygwoździłem ich swoim rozumowaniem - zasłonili twarze i ze skrucą kiwali się na ławce w takt moich oskarżeń.

- Przypominacie mi pewnego staruszka z Pietuszek. On również pił na krzywy ryj, i tylko kradzione: wynosił na przykład z apteki flakon wody kolońskiej „Potrójnej”, szedł do klozetu dworcowego i tam cichaczem wypijał. Nazywał to piciem bruderszafta. Był głęboko przekonany, że na tym właśnie polega bruderszaft, aż w końcu umarł w tym fałszywym przeświadczeniu... No i cóż? Czy to znaczy, że i wy postanowiliście wypić bruderszaft?...

A oni wciąż kiwali się i płakali, wnuczek nawet zamrugał z żalu wszystkimi pachami...

- No dość tych łez. Jeżeli mam ochotę zrozumieć, to wszystko zniosę. Zamiast głowy mam istny bajzel. Jeżeli chcecie, mogę was jeszcze czymś ugościć. Po pięćdziesiąt gramów już wypiliście - mogę wam nalać jeszcze po pięćdziesiątce...

W tym momencie ktoś podszedł do nas z tyłu i oznajmił:

- Ja też chcę z wami wypić.

Wszyscy równocześnie popatrzyliśmy na niego. Był to ten z czarnymi wąsami i w brązowym berecie.

- I-i-i-i-i - zaskrzeczał młody Mitricz - jaki chytry wujaszek, jaki chytry...

Czarnowąsy obciął go surowym spojrzeniem i rzucił spod wąsów:

- Żaden ze mnie chytrus. Ja nie kradnę jak niektórzy. Nie kradnę nieznajomym ludziom

artykułów pierwszej potrzeby. Przyszedłem ze swoją - o!...

I postawił koło mnie na ławce butelkę stolicznej.

- Nie odmówi pan? - spytał. Posunąłem się, żeby mógł usiąść.

- Nie, dziękuję, potem nie odmówię, ale na razie mam ochotę na swój alkohol. Na „Pocałunek cioci Kławy”.

- Cioci Kławy?

- Cioci Kławy.

Nalaliśmy sobie, każdy swojego. Dziadek i wnuk wyciągnęli ku mnie własne naczynia, jak się okazało, od dawna trzymali je w pogotowiu, na długo przedtem, nim ich przywołałem. Dziadek wyjął pustą ćwiartkę, a ja ją od razu poznałem. Wnuczek również wyjął, tyle że cały dzban, a wyciągnął go bodaj spod przepony...

Nalałem im tyle, ile obiecałem, a oni uśmiechnęli się.

- Bruderszaft, chłopaki?

- Bruderszaft.

Wszyscy pili, odrzuciwszy w tył głowy, niczym pianiści... „Pociąg nie zatrzymuje się na stacji Jesino. Następne przystanki - według rozkładu.”

Jesino - Friażewo

Zaczęło się bulkanie i ciamkanie. Tak jakby ten pianista, który cały czas pił, teraz - wypiwszy już wszystko - utonął we włosach, grając etiudę Franciszka Liszta *Poszumy leśne* w tonacji Des-dur.

Pierwszy zagadał czarnowąsy w kurtce. Z jakichś powodów zwracał się tylko do mnie:

- Przeczytałem u Iwana Bunina, że rudzi, kiedy wypijają, zawsze się czerwienią...

- No i co z tego?

- Jak to „co z tego”? A Kuprin i Maksym Górkę to w ogóle nie trzeźwieli...

- Wspaniale. No, a co dalej?

- Jak to „co dalej”? Ostatnie słowa Antoniego Czechowa przed śmiercią jak brzmiały? Pamięta pan? Powiedział: „*Ich sterbe*”, to znaczy „umieram”. A potem dodał: „Nalejcie mi szampana.” I dopiero wtedy umarł.

- No, no?...

- A Fryderyk Schiller - ten to nie tylko umierać, ale i żyć nie mógł bez szampana. Wie pan, jak on pisał? Nogi wsadzał do wanny z lodowatą wodą, nalewał sobie szampana - i pisał. Obalił jeden kielich i jeden akt tragedii gotowy. Obalił pięć - gotowa cała tragedia w pięciu

aktach.

- Tak, tak, tak... Aa...

Ciskał we mnie myśli, niczym triumfator monety w tłum, a ja ledwo nadążałem je zbierać. „Aa...”

- A Mikołaj Gogol...

- Co Mikołaj Gogol?...

- Zawsze, kiedy bywał u Aksakowów, prosił, żeby mu stawiać na stole specjalny, różowy kielich...

- I pił z różowego?

- Tak. I pił z różowego.

- A co pił?...

- Kto go tam wie!...

Cóż można pić z różowego kielicha? Oczywiście wódkę... I ja, i obaj Mitricze obserwowaliśmy czarnowąsęgo z zaciekawieniem. A on się zaśmiewał w przeczuciu nowych triumfów...

- A Modest Musorgski! Boże mój, a Modest Musorgski! Czy wie pan, jak pisał swoją nieśmiertelną operę *Chowańszczyzna*! Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Modest Musorgski leżał w rynsztoku zachlany, a obok przechodził Mikołaj Rimski-Korsakow, w smokingu i z bambusową laseczką. Rimski-Korsakow zatrzymał się, połaskotał Modesta swoją laseczką i mówi: „Wstawaj! Idź się umyć i bierz się do pisania swojej nieśmiertelnej *Chowańszczyzny*!”

I oto już siedzą - Mikołaj Rimski-Korsakow w fotelu, z nogą założoną na nogę, z cylindrem w ręce. A naprzeciwko niego - Modest Musorgski, kompletnie zamroczony, nie ogolony. Siedzi schylony na ławeczce, poci się i zapisuje nuty. Modest oczywiście chciałby zaprawić - co mu tam nuty! Ale Mikołaj Rimski-Korsakow z cylindrem w ręce nie pozwala... Gdy jednak tylko zamknęły się drzwi za Rimskim-Korsakowem, rzucał Modest swoją nieśmiertelną operę *Chowańszczyzna* i buch w rynsztok. Potem wstawał, znów zaprawiał, i znowu - buch!... Nie mówiąc już o socjaldemokratach...

- Oczytany, skurkowaniec! - przerwał mu w zachwycie stary Mitricz, a młody z nadmiernego napięcia pochłonał wszystkie włosy i okrył się szronem...

- Tak! Tak! Ogromnie lubię czytać! Tyle jest na świecie wspaniałych książek! - ciągnął facet w kurtce. - Ja, na przykład, piję miesiąc, piję drugi, potem zaś biorę pierwszą z brzegu książkę i czytam, a ona wydaje mi się tak dobra, ja zaś głupi, że wpadam w absolutny rozstrój nerwowy i nie mogę czytać; rzucam więc książkę i zaczynam pić, piję miesiąc, drugi, a potem...

- Poczekaj - teraz ja mu przerwałem - poczekaj. I co z tymi socjaldemokratami?

- Z jakimi socjaldemokratami? A, no tak... A czy tylko z socjaldemokratami? Wszyscy wartościowi ludzie w Rosji, wszyscy p o t r z e b n i j e ludzie - pili jak świnie. A zbędni, głupi - nie, ci nie pili. Eugeniusz Oniegin podczas wizyty w Łarinów wypił trochę wody z sokiem borówkowym i od razu sraczka go chwyciła. A uczciwi ludzie, współcześni Oniegina pomiędzy *l a f i t e' e m a c l i q u o t'* (zauważcie - „pomiędzy lafite'em a cliquot”!) tworzyli „zbuntowaną naukę” i ideologię dekabrystów... A kiedy wreszcie obudzili Hercena...

- Akurat! Akurat obudzisz tego waszego Hercena! - warknął ktoś z prawej strony. Wzdrygnęliśmy się wszyscy i obrócili w prawo. To warczał Amor w kowerkotowym płaszczu.
- Jeszcze w Chrapunowie miał ten Hercen wysiąść, a on jedzie dalej, sukinsyn!...

Ci, którzy jeszcze mogli się śmiać, roześmiali się. „A zostaw go w spokoju, cholero, dekabrysto zafajdany!” „Za uszy go, słyszysz?”- „Co za różnica - do Chrapunowa czy do Pietuszek! A może człowiek zapragnął jechać do Pietuszek, a ty go w Chrapunowie wypędzasz!” I wszystkich nagle, niepostrzeżenie i radośnie ścięło, radośnie, niepostrzeżenie i bezwstydnie... A mnie razem z nimi...

Zwróciłem się do kurtki i czarnych wąsów:

- No więc załóżmy, że zbudzili Aleksandra Hercena. Co mają do tego demokraci, *Chowańszczyzna* i...

- Zaraz powiem, co mają! Od tego zaczęło się najważniejsze - gorzała zamiast cliquot! Raznoczyństwo się zaczęło, burdy i chowańszczyzna!... Wszyscy ci Uspieńscy, wszyscy ci Pomiałowscy bez szklanki wody nie mogli napisać ani linijki! Czytałem i wiem! Pili na umór! Wszyscy uczciwi ludzie Rosji! A dlaczego pili? Z rozpacz! Pili dlatego, że byli uczciwi! Dlatego, że nie byli w stanie ulżyć doli ludu!

Lud zdychał w nędzy i ciemnocie, poczytaj pan Dymitra Pisariewa! Tak właśnie pisze: lud nie może sobie pozwolić na wołowinę, ale wódka jest tańsza od wołowiny, i dlatego rosyjski chłop pije, z biedy pije! Na książkę nie może sobie pozwolić, dlatego że na targu nie znajdziesz ani Gogola, ani Bielińskiego, lecz jedynie wódkę, i monopolową, i bimber, i na miejscu, i na wynos! Dlatego pije, pije z powodu swojej ciemnoty!

No i jak tu nie rozpaczać, jak nie pisać o chłopie, jak go nie ratować i jak samemu nie spać się z rozpacz! Socjaldemokrata - pisze i pije, i pije, kiedy pisze. A chłop - nie czyta i pije, pije i nie czyta. Wtedy Uspieński idzie i wiesza się, Pomiałowski zaś wali się pod ławę w szynku i zdycha, a Garszyn zachlany rzuca się ze schodów i łamie sobie kark...

Czarnowąsy już się zerwał, zdjął beret i gestykulował jak opętany - wszystko, co wypił, podniecało go i uderzało mu do głowy, uderzało coraz bardziej... Dekabrysta w kowerkotowym

płaszczu porzucił swojego Hercena i przysiadł się do nas, wznosząc ku mówcy mętne, szare oczy...

- I patrz pan, co się dzieje! Gęstnieją coraz bardziej mroki niewiedzy i rośnie ubóstwo. Bezwzględnie rośnie! Czytał pan Marksa? Bezwzględnie! Innymi słowy: pije się coraz więcej i więcej! Proporcjonalnie wzrasta rozpacz socjaldemokraty, to już nie sprawa lafite'a ani cliquot, tamci jeszcze jakoś dobudzili Hercena! Teraz cała myśląca Rosja, litując się nad dolą chłopą, pije nie trzeźwiejąc! Uderz we wszystkie dzwony w całym Londynie - w Rosji nikt nawet głowy nie podniesie, wszyscy leżą w rzygowinach i ciężko im na duszy!...

I tak aż do naszych czasów! Aż do naszych czasów! To koło - błędne koło bytu - zaciska mi się na gardle! Wystarczy, żebym przeczytał dobrą książkę - i ani rusz nie mogę zorientować się, kto pije i dlaczego: doły, naśladując górę, czy góra za przykładem dołów. I nie mogę, rzucam książkę. Piję miesiąc, piję drugi, a potem...

- Stop! - przerwał mu dekabrysta. A czy nie można by nie pić? Wziąć się w garść i nie pić? Otóż tajny radca Goethe na przykład w ogóle nie pił.

- Nie pił? Kompletnie? - Czarnowąsy aż wstał i włożył beret.

- To niemożliwe!

- A właśnie, że możliwe. Potrafił człowiek wziąć się w garść i nie wypić ani grama...

- Ma pan na myśli Johanna Wolfganga von Goethe?

- Tak. Mam na myśli Johanna Wolfganga von Goethe, który nie wypił ani grama.

- Dziwne... A gdyby tak przepił do niego Fryderyk Schiller?...

- Nie szkodzi, i tak by nie wypił. Wziąłby się w garść i nie tknąłby wódki. Powiedziałby: nie wypiję ani grama.

Czarnowąsy przygaśł i posmutniał. Na oczach zebranych runął cały jego system, system tak uporządkowany, błyskotliwy i efektowny, choć nieco naciągnięty. „Pomóż mu, Jerofiejew - szepnąłem do siebie - pomóż człowiekowi. Rzuć jakąś alegorią albo...”

- Tak pan powiada: tajny radca Goethe nie pił ani grama? - zwróciłem się do dekabrysty.
 - A wie pan, dlaczego nie pił? Co mu kazało nie pić? Wszyscy uczciwi, mądrzy ludzie pili, a on nie? Dlaczego? Oto jedziemy teraz do Pietuszek i nie wiadomo dlaczego pociąg zatrzymuje się na wszystkich stacjach oprócz Jesina. Czy nie mógłby się zatrzymać w Jesinie? Ale nie zatrzymał się. Przeleciał bez zatrzymania. A wszystko dlatego, że w Jesinie nie ma pasażerów, wszyscy wsiadają albo w Chrapunowie, albo we Fraziewie. Tak. Idą z Jesina do Chrapunowa albo do Fraziewa i tam wsiadają. Dlatego że pociąg przez Jesino i tak przeleci bez zatrzymania. Otóż podobnie postępował Johann Wolfgang von Goethe, stary dureń. Myślicie, że nie miał ochoty się napić? Oczywiście że miał. Ale żeby samemu uniknąć upadku, zmuszał do picia

wszystkich swoich bohaterów. Weźcie chociażby *Fausta*. Kto tam nie pije? Wszyscy piją. Faust pije i młodnieje, Zybela pije i ciągnie do Fausta. Mefistofeles nic innego nie robi, tylko pije, częstuje burszów i śpiewa im *Pchłę*. Spytacie: na co to było potrzebne tajemnemu radcy Goethemu? Odpowiem wam: a czemuż kazał Werterowi palnąć sobie w łeb? Dlatego że istnieją dowody, iż sam był na granicy samobójstwa, żeby jednak uniknąć pokusy zmusił Wertera, żeby to zrobił za niego. Rozumiecie już? Pozostał przy życiu, ale w pewnym sensie skończył z sobą. I był w pełni zadowolony. To znacznie gorsze niż zwyczajne samobójstwo, bo jest w tym więcej tchórzostwa, egoizmu, i fałszu literackiego...

Otóż on tak samo pił, jak się strzelał, ten wasz tajny radca. Mefistofeles wypije - a jemu jest dobrze, staremu sukinsynowi. Faust zaprawia - a on, stary pierdziel, już jest urąbany. Pracował ze mną na moim odcinku wujek Kola. Był taki sam - nie pił, bo się bał, że jak strzeli kielicha, to wpadnie, pójdzie w tango na tydzień, na miesiąc. Ale nas o mało co siłą nie zmuszał do picia. Nalewał nam, odchrząkiwał za nas, delektował się, łajdak, chodził jak w transie...

Tak samo jak wasz wychwalany Johann von Goethe! Schiller go częstuje, a on odmawia - a jakże! Goethe był alkoholikiem, ochlapusem był wasz tajny radca, Johann von Goethe! I nawet ręce mu drżały!

- Taaak... A to ci dopiero... - Dekabrysta i czarnowąsy wpatrywali się we mnie. Błyskotliwie skonstruowany system był uratowany, wobec czego powróciła również wesołość. Dekabrysta - prawdziwie szerokim gestem - wyciągnął z kowerkotowego płaszcza butelkę pieprzówki i postawił ją u nóg czarnowąsego. Czarnowąsy wyjął swoją stoliczną. Wszyscy zacierali ręce, dziwnie podnieceni...

Mnie nalali najwięcej. Staremu Mitriczowi też nalali. Młodemu również podali szklankę - a on przycisnął ją radośnie do lewej sutki prawym biodrem, z obu zaś jego nozdrzy pociekły łzy...

- A zatem zdrowie tajnego radcy Johanna von Goethe?

Friaziewo - 61 kilometr

- Tak. Zdrowie tajnego radcy Johanna von Goethe. Zaledwie wypilem, poczułem, że staję się pijany ponad wszelką miarę, i wszyscy inni również...

- Aha... pozwól pan, że zadam panu jedno drobne pytanie - zagadał czarnowąsy przez wąsy i przez kanapkę w wąsach; znów zwracał się wyłącznie do mnie.

- Pozwól pan, że zapytam: dlaczego widzę w pańskich oczach tyle smutku?!... Czyż można być smutnym, mając taką wiedzę?! Można by pomyśleć, że od rana pan nic nie pił!

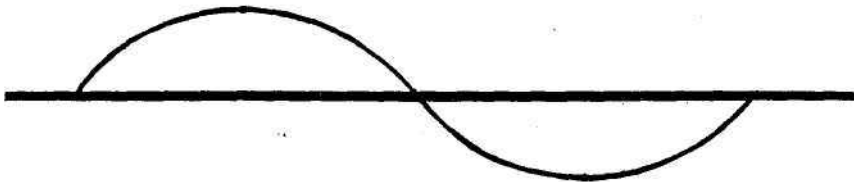
Obruszyłem się trochę.

- Jak to nic! I czy to jest smutek? Po prostu oczy mi zmętniały... Ot, sporo wałęsałem i tyle...

- O nie, nie - ta mgiełka to smutek! Jest pan niczym Goethe! Całym swoim wyglądem obala pan jedno z moich twierdzeń pomocniczych, nieco bardziej może wyszukane intelektualnie, ale jednak wypływające z doświadczenia. Pan, niczym Goethe - wszystko obala...

- Ależ w jaki sposób? Tym, że jestem trochę mętny?...

- Właśnie! Tym! Otóż proszę posłuchać, w czym tkwi tajemnica mojego twierdzenia: kiedy walimy sobie wieczorem, a rano nie pijemy, to jacy jesteśmy wieczorem, a jacy będziemy nazajutrz? Ja, na przykład, jeśli wypiję, staję się cholernie wesoły, podniecony ruchowo i szaleję, miejsca sobie znaleźć nie mogę, tak. A następnego dnia - cóż, nie można ot, po prostu powiedzieć, że jestem niewesoły czy nieruchawy, nie. Jestem akurat o tyle bardziej ponury niż normalnie, kiedy jestem trzeźwy, o ile byłem weselszy niż normalnie poprzedniego dnia. Jeżeli w przeddzień byłem opętany przez Erosa, to moje poranne uczucie wstrętu odpowiada dokładnie natężeniu wczorajszych majaków. Co chcę przez to powiedzieć? Proszę, niech pan popatrzy.



I czarnowąsy narysował na kartce taką oto pierdułkę. Po czym wyjaśnił: linia pozioma - to linia normalnej trzeźwości, czyli linia codzienna. Najwyżej położony punkt na krzywej - to moment zasypiania, najniższy punkt - przebudzenie na kacu...

- Popatrzcie! To po prostu idealne lustrzane odbicie! Głupia, głupia natura, o nic się nie troszczy tak zawzięcie jak o równowagę! Nie wiem, czy jest to troska moralną, ale w każdym razie zdecydowanie geometryczna! Niech pan popatrzy: przecież ta krzywa przedstawia nam nie tylko jedną jedyną stronę aktywności życiowej, o nie! Przedstawia wszystko. Wieczorną odwagę, nawet wtedy, kiedy istnieje powód, żeby się bać, nieustraszoną i lekceważącą wszelkich wartości. Rano - przewartościowanie, przechodzące w całkowicie uzasadniony strach.

Jeśli wieczorem, kiedy jesteśmy naprężeni, natura ofiaruje nam „nadmiar”, to rano tyle akurat ujmuje - z matematyczną dokładnością. Miałeś wieczorem nieprzeparty pociąg do

ideałów - proszę, po przepiciu zmienia się on w pociąg do antyideałów, jeśli zaś nawet pozostaje ideał, to wzbudza jedynie antyporyw. Otóż i w dwóch słowach wykładnia mojego nieocenionego twierdzenia pomocniczego...

Jest ono uniwersalne i każdy może je zastosować. Ale u pana nic nie jest tak jak u innych, wszystko jak u Goethego!...

Roześmiałem się. „Dlaczego twierdzenie pomocnicze, skoro jest uniwersalne?...”

Dekabrysta również się roześmiał. „Skoro jest uniwersalne, to dlaczego pomocnicze?...”

- Zaraz powiem dlaczego! Dlatego że nie bierze pod uwagę baby! Odnosi się do człowieka jako takiego, ale baby - nie uwzględnia! Wraz z pojawieniem się baby zostaje zachwiana czystość lustrzanego odbicia. Gdyby bowiem baba nie była babą - twierdzenie pomocnicze nie byłoby twierdzeniem pomocniczym. Jest ono uniwersalne, dopóki nie pojawi się baba. Pojawia się baba - i nie ma twierdzenia pomocniczego... Zwłaszcza gdy baba jest zła, a twierdzenie dobre...

Naraz wszyscy się rozgadali. „A tak w ogóle, to co to właściwie jest to twierdzenie pomocnicze?”, „I co to znaczy zła baba?”, „Nie ma złych bab, tylko twierdzenie może być złe...”

Ja, na przykład - powiedział dekabrysta - mam trzydzieści bab, jedna warta drugiej, chociaż nie posiadam wąsów. A pan ma, dajmy na to, wąsy i jedną dobrą babę. Uważam jednak, że trzydzieści najgorszych bab jest lepsze, niż jedna nawet doskonała...

- A co do tego mają wąsy? Mówimy o babie, nie o wąsach!

- O wąsach też! Gdyby nie było wąsów, nie byłoby rozmowy...

- Cholera wie, o czym gadacie!... Ja jednak myślę, że jedna dobra baba jest lepsza niż te wszystkie wasze razem wzięte. A jak pan się na to zapatruje?... - Czarnowąsy znów zwrócił się do mnie. - Z naukowego punktu widzenia, oczywiście...

Powiedziałem:

- Z naukowego, naturalnie, jest lepsza. W Pietuszkach, na przykład, trzydzieści pustych butelek wymieniają na jedną flaszkę dziurawcówki, i jeśli przyniesie się, przypuścmy...

„Jak to! Trzydzieści za jedną? Dlaczego tak dużo!” - Wrzawa narastała.

- A kto ci wymieni inaczej! Trzydzieści podzielić na dwanaście - to wynosi trzy sześćdziesiąt. A dziurawcówka kosztuje dwa sześćdziesiąt dwa, o tym wie każde dziecko. Dlaczego umarł Puszkina, tego jeszcze nie wie, ale to już wie. A jednak reszty nie będzie. Trzy sześćdziesiąt, to oczywiście więcej niż dwa sześćdziesiąt dwa, ale reszty wszakże nie dostajesz, dlatego że za ladą stoi dobra baba, a dobrą babę należy uszanować...

- A dlaczegoż to ta baba za ladą jest taka dobra?

- Dlatego że zła w ogóle by pustych butelek nie wzięła. A dobra baba bierze od was złe butelki, w zamian zaś za to daje wam jedną dobrą flaszkę. I dlatego należy taką babę uszanować... Ale po co w ogóle na świecie są baby?

Wszyscy znacząco umilkli. Każdy pomyślał swoje, albo wszyscy pomyśleli to samo, nie wiem.

- A po to, żeby je szanować. Co mówił Maksym Górki na wyspie Capri?

„Miarą każdej cywilizacji jest sposób traktowania kobiety.” Weźmy mnie: wchodzę do sklepu w Pietuszkach i mam ze sobą trzydzieści pustych butelek. Zagaduję: „Szefowo! - głosem przepitym i żalonym. Szefowo kochana! Poproszę dziurawca, jeśli łaska...” A przecież wiem, że prawie rubla przepłacam: trzy sześćdziesiąt minus dwa sześćdziesiąt dwa. Aż żal. A ona patrzy na mnie i ocenia: wydać temu łajdusowi resztę czy nie wydać? Ja zaś patrzę na nią: wyda mi, szantrapa resztę czy nie wyda? Nie, właściwie w tym momencie nawet na nią nie patrzę. Patrzę poprzez nią w dal. I co jawi się przed moimi bezmyślnymi oczyma? Wyspa Capri. Rosną sobie agawy i tamaryndowce, a pod nimi siedzi Maksym Górki, z białych spodni wyłażą mu owłosione nogi. I grozi mi palcem: „Nie bierz reszty! Nie bierz reszty!” A ja odburkuję mu, że nie będę miał co zjeść. „No, dobrze, wypiję, a czym zakąszę?”

On na to: „To nic, Wienia, wytrzymasz. A jak chcesz zjeść, to nie chlej.” Tak więc wychodzę bez żadnej reszty. Oczywiście szlag mnie trafia, myślę sobie: „Miara! Cywilizacji! Ech, Maksymie Górki, Maksymie Górki w dupę kopany, z głupoty czy po pijaku spłodziłeś coś takiego na swoim Capri? Tobie dobrze, możesz zjeść swoje agawy, a ja co mam zjeść?...”

Pasażerowie zanosili się od śmiechu. A wnuczek skrzeczał: „I-i-i-i-i, jakie agawy. Jakie dobre kapri...”

- A zła baba? - odezwał się dekabrysta. - Czy zła baba nie bywa potrzebna?

- Oczywiście! Oczywiście że potrzebna - odpowiadam mu.

- Dobremu człowiekowi zła baba niekiedy bywa wprost niezbędna. Weźmy na przykład mnie, dwanaście tygodni temu: leżałem w grobie, już cztery lata leżałem w grobie, tak że nawet cuchnąć przestałem. I ktoś jej powiedział: „To ten, co już leży w grobie. Wskrześ go, jeśli potrafisz.” A ona podeszła do grobu... Ach, żebyście wiedzieli, jak podeszła!...

- Wiemy! - powiedział dekabrysta. - „Nie idzie - to taniec. A tańczy jak krowa. Jak krowa tańczy? Chujowo.”

- Otóż to! Podeszła do grobu i mówi: „Talitha kumi”. Co znaczy w przekładzie z hebrajskiego: „Zaprawdę powiadam ci - wstań i idź.” I co myślicie? Wstałem i poszedłem. I już trzy miesiące chodzę mętny...

- Ten męt bierze się ze smutku - powtórzył czarnowąsy w berecie. A smutek - od baby.
- Smętny jest dlatego, że zachlał - przerwał mu dekabrysta.
- Co ma do tego zachlanie! A zachlanie - to skąd? Stąd, że człowiek dajmy na to, zatęskni i idzie do baby. Nie można przecież jechać do baby i nie wypić! Czyli że baba jest zła. Ale jeżeli nawet jest zła, to i tak należy wypić. Przeciwnie, im gorsza baba, tym bardziej trzeba zaprawić!...

- Słowo daję! - krzyknął dekabrysta. - Jak to dobrze, że wszyscy jesteśmy tacy wyrobieni! Po prostu jak u Turgieniewa: wszyscy siedzą i dyskutują o miłości. Wiecie co? Ja też wam opowiem coś niecoś o miłości - wyjątkowej. I o tym, jak bardzo bywają potrzebne złe baby!... Niech będzie jak u Turgieniewa! Niech każdy coś opowie...

„Niech będzie!” „Niech będzie jak u Turgieniewa!” Nawet stary Mitricz powiedział: „Niech będzie!...”

61 kilometr - 65 kilometr

Pierwszy zaczął opowieść dekabrysta.

- Miałem jednego przyjaciela, nigdy go nie zapomnę. Zawsze był jakiś stuknięty, aż tu nagle po prostu diabeł w niego wstąpił. Zwariował - a wiecie na czym punkcie? Na punkcie Olgi Erdeli, sławnej radzieckiej harfistki. Tak, Wiera Dułowa jest również sławną harfistką, ale on zwariował właśnie na punkcie Erdeli. I ani razu w życiu nie widział jej na oczy, tylko słyszał w radio, jak Olga brzęczy na harfie - no i macie, zwariował...

Zwariował i leży. Nie pracuje, nie uczy się, nie pali, nie pije, z łóżka nie wstaje, dziewczyn nie używa i przez okno nie wygląda... Dajcie mu tylko Olgę Erdeli - wtedy będzie jak w bajce. Nacieszę się, powiada, harfistką Olgą Erdeli, i dopiero wówczas zmartwychwstanę: wstanę z łóżka, zacznę pracować, uczyć się, pić, palić i wyjrzę przez okno. Przekonujemy go:

- Ale na co akurat Erdeli? Bierz zamiast niej Wierę Dułową, Dułowa gra przepięknie!
A on na to:

- Udławcie się swoją Wierą Dułową! Niech się wypcha! Ja bym na waszą Wierę Dułową nawet wysrać się nie chciał!

No, widzimy, że chłop kompletnie się wykończy. Za trzy dni znów zaczynamy mu przemawiać do rozumu.

- No i jak, wciąż masz bzika na punkcie Olgi Erdeli? Mamy dla ciebie lekarstwo: jeżeli chcesz, jutro sprowadzimy ci Wierę Dułową.

- Oczywiście - odpowiada - jeżeli chcecie, żebym waszą Wierę Dułową udusił struną od harfy - proszę bardzo, przyprowadźcie. A ja ją uduszę.

No i co tu robić? Chłop już prawie zdycha, trzeba go ratować. Poszedłem do Olgi Erdeli, chciałem wyjaśnić, o co chodzi, ale jakoś w końcu nie mogłem się zdecydować. Chciałem też iść do Wierę Dułowej - ale po co, myślę, zadusi ją jak kurczaka. I tak spaceruję sobie wieczorem po Moskwie, a w duszy czuję smutek: one tam siedzą i grają na harfach, tyją i pulchnieją przy tych harfach, a nasz kumpel już wygląda jak ruina człowieka.

A tu wpada na mnie babeczka, nie to żeby podstarzała, ale już naprana jak stodoła. „Dddaj rrrubla - powiada - daj!” I tu doznałem olśnienia. Dałem jej rubla i wszystko opowiedziałem, a ona, ta menda, okazała się pojętniejsza od Erdeli. Dla większej wiarygodności kazałem jej wziąć bałałajkę...

Po czym zaciągnąłem ją do mojego przyjaciela. Wchodzimy, a on leży i tęskni. Najpierw cisnąłem w niego bałałajką prosto od progu. A potem - szurnąłem mu tą Olgę pod sam nos... „Masz swoją Erdeli! Jak nie wierzysz - spytaj!”

Rano patrzę - okno się otwiera, chłop wyjrzał i spokojnie zapalił.

Potem - powolutku zabrał się do pracy, uczył się, popijał... I stał się normalnym człowiekiem, jak każdy. No więc widzicie...

- A gdzie tu miłość i gdzie Turgieniew? - zaatakowaliśmy go chórem, niemal nie dając mu skończyć. - O, nie, gadaj o miłości! Czytałeś Iwana Turgieniewa? No, więc jeżeli czytałeś, to opowiadaj! Opowiadaj o pierwszej miłości, o Zinoczce, o woalce i o tym, jak dostałeś szpicrutą po pysku - o tym wszystkim opowiadaj dokładnie...

- Oczywiście - dodałem - u Iwana Turgieniewa jest trochę inaczej, u niego wszyscy zbierają się przy kominku, w cylindrach i rozluźnionych kołnierzykach... No, dobra, my mamy się czym rozgrzać i bez kominka. A sztywne kołnierzyki? Po co nam kołnierzyki. My i bez kołnierzyków już jesteśmy dobrzy...

- Racja! Racja!

- Kochać jak u Turgieniewa to znaczy umieć poświęcić wszystko swej wybranej! Być zdolnym uczynić to, czego nie sposób uczynić, nie kochając po Turgieniewowsku! O, ty, na przykład (niepostrzeżenie przechodziliśmy na „ty”). Ty, dekabrysto! Czy mógłbyś temu przyjacielowi, o którym opowiadałeś, odgryźć palec? Dla ukochanej kobiety?

- Dlaczego palec?... Co ma do tego palec? - osłupiał dekabrysta.

- Nie, nie, posłuchaj. A czy potrafiłbyś w nocy, po cichutku, wejść do komitetu partii, zdjąć spodnie i wypić całą flaszkę atramentu, a potem odstawić butlę na miejsce, włożyć spodnie i - cichcem wrócić do domu! Dla ukochanej kobiety? Potrafiłbyś?...

- Boże! Nie, nie potrafiłbym.

- No, otóż to...

- A ja bym mógł... - przemówił nagle dziadunio Mitricz. Tak nieoczekiwanie, że wszyscy znów się ożywili i zaczęli zacierać ręce. - A ja bym mógł coś opowiedzieć...

- Ty? Opowiedzieć? Przecież ty pewnie nawet nie czytałeś Iwana Turgieniewa!...

- Powiedzmy, że nie czytałem... Mój wnuczek za to wszystko czytał...

- No, dobra, dobra! Wnuczek potem opowie! Później damy mu głos! Jazda! Ojczulku, wal, opowiadaj o miłości!...

„Wyobrażam sobie - pomyślałem - co to będą za koszmarnie brednie!” I nagle znów przypomniałem sobie swoje przechwałki w dzień

poznania mojej królowej: „Jeszcze więcej bredni powypisuję! Jeszcze więcej!” Cóż, niech opowiada ten kaprawy Mitricz. Trzeba szanować - powtarzam - zakamarki cudzej duszy, trzeba w nie zaglądać, nawet jeżeli tam nie ma nic albo same śmiecie - wszystko jedno: traktuj je z szacunkiem, nie lżyj, nie pogardzaj. Dziadek zaczął swoją opowieść.

65 kilometr - Pawłowo-Posad

- Mieliśmy przewodniczącego... Nazywano go Lohengrin, taki zasadniczy... i cały w czyrakach... co dzień wieczorem pływał motorówką. Wsiadał do łódki i pływał po rzece... pływał i czyraki sobie wyciskał...

Z oczu opowiadającego sączyła się wydzielina, był przejęty.

- A jak już sobie popływał... Wracał do siebie, do zarządu, kładł się na podłodze... i tutaj już do niego ani przystęp - milczy i milczy. A jeśli powiesz coś nie tak - odwraca się twarzą do kąta i płacze... Stoi i płacze, i sika na podłogę jak maluch...

Dziadunio nagle umilkł. Wargi jego skrzywiły się, a granatowy nos zapłonął i zgasł. Dziadek płakał! Płakał jak baba, objawszy głowę rękami, a ramiona mu się trzęsły, całe aż chodziły...

- No, dosyć, co, Mitricz?

Wagon zadrżał od śmiechu. Wszyscy chichotali bezczelnie i radośnie. A wnuczek aż cały zafalował od dołu do góry, żeby od lewa na prawo nie opluć sobie kostek. Czarnowąsy wściekał się:

- I gdzie tu Turgieniew? Przecież umówiliśmy się: ma być jak u Turgieniewa! A to cholera wie co! Jakiś parszywiec cały w czyrakach! I w dodatku sika!

- Na pewno jakiś film opowiadał - mruknął ktoś z boku. Pod tytułem *Przewodniczący*.

A ja siedziałem i rozumiałem starego Mitricza, rozumiałem jego łyzy - staremu po prostu wszystkiego i wszystkich było żal: przewodniczącego, bo nadano mu takie haniebne przezwisko, i ściany, którą tamten obsikał, i łódki, i czyraków - nad wszystkim się litował... Pierwsza miłość czy ostatnia litość - co za różnica? Bóg umierając na krzyżu nakazał nam się litować. A szydzić - nie. Litość i miłość do świata - to jedno. Miłość do każdego pyłka, do każdego robaka. I dla płodu każdego robaka - litość.

- Ano, ojczulku - zwróciłem się do niego - wiesz co, poczęstuję cię, zasłużyłeś sobie! Bardzo pięknie mówiłeś o miłości!...

- Tak, wszyscy, wszyscy wypijmy! Za orłowskiego szlachcica Iwana Turgieniewa, obywatela słodkiej Francji!

- Jazda! Za orłowskiego szlachcica!...

Znowu zaczęło się to samo bulgotanie i brzęk, a potem szelesty i ciamkanie. Etiuda Des-dur Franciszka Liszta, wykonywana na bis...

Nikt z początku nie zauważył, jak w drzwiach naszego przedziału (nazwijmy go przedziałem) wyrosła postać kobiety w brązowym berecie, w kurtce i z czarnymi wąsikami. Kobieta była totalnie pijana, beret zjeżdżał jej z głowy...

- Ja także chcę Turgieniewa i coś chlapnąć - wyrzekła głosem wprost z macicy...

Zaskoczenie trwało nie więcej niż dwie sekundy.

- Apetyczna przychodzi w czasie jedzenia - błysnął dowcipem dekabrysta. Wszyscy się roześmiali.

- Z czego tu się śmiać? - zapytał dziadunio. - Baba jak baba, dobra, łagodna...

- Takie dobre baby... - posępnie rzekł czarnowąsy i zdjął beret - takie dobre baby należy wyprawiać na Krym, wilkom i niedźwiedziom na pożarcie...

- Nie, dlaczego! - zaprotestowałem i ożywiłem się. - Niech siada! Może coś ciekawego opowie! Czytaliście Turgieniewa, czytaliście Maksyma Gorkiego, a pożytku z was tyle co... - Posunąłem się na ławce. Usadziłem kobietę i nalałem jej pół szklanki „cioci Kławy”.

Wypiła i zamiast podziękowania ściągnęła z głowy beret. „A to widzicie?” I pokazała wszystkim bliznę nad uchem. A potem chwilę triumfalnie milczała - i znów podsunęła mi szklankę. „Chluśnij no jeszcze, młody człowieku, bo jak nie, stracę przytomność.”

Nalałem jej jeszcze pół szklanki.

Pawłowo-Posad - Nazariewo

Wypiła i to, znów jakoś tak odruchowo. A wypiwszy otworzyła szeroko usta i pokazała.

„Widzicie - czterech zębów mi brakuje.” - „A gdzie te zęby?” - „A kto je tam wie, gdzie są. Kobieta ze mnie na poziomie, a chodzę bez zębów. Jeden taki mi je wybił za Puszkina. Słyszę - prowadzicie dysputę literacką, no to myślę, i ja się do nich przyłączę, wypiję i przy okazji opowiem, jak mi przez Puszkina rozbili głowę i wybili cztery przednie zęby...

I zaczęła snuć opowieść, a styl jej narracji był zaiste przedziwny...

- Wszystko zaczęło się przez Puszkina. Przysłali do nas grupowego komsomolskiego Jewtiuszkin, ale on cały czas mnie podszczypywał i recytował wiersze, aż raz to złapał mnie za łydkę i pyta: „Mój dziwny wzrok czyż cię nie dręczył?” A ja na to: „No, przypuśćmy, że dręczył”... A on mnie znów za łydkę: „W twojej duszy głos mój wciąż rozbrzmiewał?” - „Jasne, mówię, rozbrzmiewał.” Wtedy on złapał mnie wpół i dokądś zaciągnął. Od tej chwili chodziłam wszystkimi dniami jak błędna i powtarzałam w kółko, jakbym wkuwała na pamięć: „Puszkina-Jewtiuszkin-dręczył-rozbrzmiewał.” „Rozbrzmiewał-dręczył-Jewtiuszkin-Puszkina.” A potem znowu: „Puszkina-Jewtiuszkin”...

- Trzymaj się tematu, przednich zębów - przerwał jej czarnowąsy.

- Chwileczkę, zaraz będą zęby! Będziecie mieć zęby!... I co dalej?... Od owego dnia wszystko szło jak po maśle, przez całe pół roku Boga obrażałam, grzesząc z tamtym na sianie, wszystko było na najlepszej drodze!... A potem ten cholerny Puszkina znów wszystko spaprał!... Ja przecie byłam Joanna d'Arc. Tamta też - bo jej się nie chciało krów pasać i w polu robić - usiadła na konia i pogalopowała do Orleanu, tyłek ją swędział, wołała przygód szukać. Otóż i ja tak samo - starczy, że sobie trochę wypilałam, od razu huzia na niego: „A kto za ciebie dzieciaki będzie chować, może Puszkina?” A on się odgryza: „Jakie znowu dzieciaki? Przecież żadnych dzieciaków nie ma! I co tu ma do rzeczy Puszkina?” A ja mu na to: „Jak już będą, za późno będzie Puszkina wspominać!”

I tak przez cały czas - wystarczy, że się trochę zaprawię.

„Kto za ciebie, mówię, dzieciaki?... Puszkina?!” A on się cały pieni. „Idźże ty, Daria - krzycz. - Idźże już! Przestań z duszy ludzkiej iskry krzesać!” Jak ja go nienawidziłam w tych chwilach, tak nienawidziłam, że mi się w oczach ćmiło. A potem - jak to bywa, nic, minęło, i znów go kochałam, tak kochałam, że aż się po nocach budziłam z tej miłości...

Ale pewnego dnia zaprawiłam się na cacy. Przyskakuję do niego i wrzeszczę: „Co, Puszkina będzie za ciebie dzieci chował?! Tak? Puszkina?” A on, jak usłyszał o Puszkinie, to aż posiniał cały i zatrzęsł się. „Pij, schlewaj się, ale Puszkina nie tykaj! Pij wszystko, pij moją krew, tylko, na Boga, nie wódź człowieka na pokuszenie! Nie zmuszaj do grzechu!” Akurat wtedy byłam na chorobowym: wstrząs mózgu i skręt kiszek, a na południu - akurat jesień, więc jak mu wtedy nie odpysknę: „Zostaw mnie, łajdaku, odejdz na zawsze! Obejdzie się!”

Miesięczek się połajdaczę, a potem - pod pociąg! Pójdę do klasztoru i pokutnicą bożą zostanę! Jeszcze przyjdiesz do mnie o przebaczenie prosić, a ja wyjdę cała w czerni, cud piękności, i całą mordę ci podrapię serdecznym palcem! Won, ale już!” I dalej wrzeszcze: „A czy ty chociaż duszę moją kochasz? Kochasz ty moją duszę?” A on nic tylko się trzęsie i sinieje. „Sercem - ryczy - sercem, tak, sercem kocham twoją duszę, ale całą duszą nie, nie kocham!!!”

I jakoś się tak dziko roześmiał, jak w operze, złapał mnie, rozwalił mi łeb i pojechał do Włodzimierza nad Kłazmą. Po co pojechał, do kogo? Moje zaskoczenie dzieliła ze mną cała Europa. A moja głuchoniema babcia powiada do mnie z pieca: „Widzisz, Daszeńka, jakżeś daleko zaszła w poszukiwaniu swojego ja!”

Tak! Wrócił po miesiącu. Ja akurat pijana byłam w dym, i jak go tylko zobaczyłam, aż padłam na stół ze śmiechu, nogami macham. „Ach! - krzyczę - do Włodzimierza nad Kłazmę cię wywiało! A kto będzie za ciebie dzieciaki...” Wtedy on - bez słowa - podszedł, wybił mi cztery przednie zęby i pojechał do Rostowa nad Donem, w delegację służbową z Komsomołu...

Rzecz cała, chłopie, w zamroczeniu umysłu. Polej jeszcze troszkę...

Wszyscy dusili się ze śmiechu. Wszystkich dobiła przede wszystkim ta głuchoniema babunia.

- Gdzież on jest teraz, ten twój Jewtiuszkin?...

- A kto go tam wie? Może na Syberii. Może w Azji Środkowej. Jeżeli dojechał do Rostowa i wciąż jeszcze żyje, to znaczy, że jest gdzieś w Środkowej Azji. A jeżeli nie dojechał i umarł, to znaczy, że na Syberii...

- Prawdę mówisz - poparłem ją - w Środkowej Azji człowiek nie umrze, tam można pożyć. Sam nie byłem, ale był mój przyjaciel Tichonow. Opowiadał tak: idziesz sobie, idziesz, a tu - kiszlak, kiziakiem w nim pod piecem palą, wypić nie ma co, ale żarcia za to w bród: pełno akynów, saksaułu... I tak przeszło pół roku żywił się tymi akynami i saksaułem... No i nie najgorzej - przyjechał spasiony, oczy wybałuszone...

- A na Syberii?

- Na Syberii nie, na Syberii nie ma życia. Na Syberii w ogóle nikt nie mieszka, tylko Murzyni. Żywności im tam nie dostarczają, wypić nie ma co, nie mówiąc o tym, żeby pojeść. Tylko jeden raz w roku jest dostawa haftowanych ręczników z Żytomierza - i Murzyni wieszają się na nich...

- Jacy znowu Murzyni? - ocknął się dekabrysta, który chyba się odrobinę zdrzemnął. - Jacy Murzyni na Syberii! Murzyni mieszkają w Stanach, a nie na Syberii. Założmy, że był pan na Syberii. A w Stanach pan był?...

- Byłem! I nie widziałem tam żadnych Murzynów!

- Żadnych Murzynów? W Stanach?

- Tak! W Stanach! Ani jednego Murzyna nie widziałem!... Wszyscy jakoś tak ogłupieli i tak byli zamroczeni i oczadziali, że na żadne wątpliwości nie było miejsca. O kobiecie z pogmatwanym losem, z blizną i bez zębów wszyscy bez wyjątku natychmiast zapomnieliśmy. Ona także popadła w jakieś samozapomnienie, reszta też; jeden tylko młody Mitricz, żeby okazać się chwatem w obecności damy, cały czas spluwał czymś w rodzaju moczu, trafiając w potylicę...

- To znaczy, że był pan w Stanach - mamrotał czarnowąsy. - To bardzo, ale to bardzo dziwne! Murzynów tam nie ma i nigdy nie było, dobrze... wierzę panu jak bratu... Ale niech pan powie - wolności też tam nie było i nie ma?... Wolność wciąż pozostaje jeno majakiem na tym kontynencie boleści? Powiedz pan...

- Tak - odpowiedziałem mu - wolność też pozostaje majakiem na tym kontynencie boleści, a oni wszyscy tak do tego przywykli, że nic nawet nie zauważają. Niech pan tylko pomyśli! Nie ma w nich - a wiele chodziłem i obserwowałem - w ani jednym ich grymasie, w ani jednym geście, w ani jednym słowie nawet śladu zawstydenia, do którego tak przywykliśmy. Na każdej gębie widać tyle poczucia własnej godności, że starczyłoby nam wszystkim na całą następną pięciolatkę. „Skąd się to u nich bierze? - myślałem, skręcając z Manhattanu w Piątą Aleję, i sam sobie odpowiadałem: Z ich ohydneho samozadowolenia, z niczego więcej.” Ale skąd się bierze to samozadowolenie? Stałem pośrodku ulicy, żeby rozstrzygnąć ten problem. „Skąd w świecie propagandowej fikcji i reklamowych sztuczek bierze się tyle zadowolenia z siebie?” Kierowałem się w stronę Harlemu, wzruszając niepewnie ramionami. „Skąd? Skąd w tych zabawkach ideologów monopoli, w marionetkach królów broni bierze się ten apetyt? Żrą pięć razy na dzień, bardzo suto, i zawsze z tym bezgranicznym poczuciem własnej wartości - czyż uczciwy człowiek w ogóle może mieć apetyt, zwłaszcza w Stanach?”

- Tak, tak, tak - kiwał głową stary Mitricz - oni tam jedzą, a my już prawie wcale nie jemy... Cały ryż wywozimy do Chin, cały cukier wywozimy na Kubę... a sami co mamy jeść?...

- Nie przejmuj się, ojczulku, nie przejmuj - ty już swoje przejadłeś, aż grzech o tym mówić. A jeżeli będziesz w Stanach, to pamiętaj o najważniejszym: nie zapominaj o staruszce ojczyźnie i o jej dobroci. Maksym Górki pisał nie tylko o babach, pisał też o ojczyźnie. Pamiętasz, co pisał?...

- A jakże... pamiętam... - I wszystko, co wypił, wylewało się jego błękitnymi oczami. - Pamiętam... „Wchodziliśmy z babcią w las coraz głębiej...”

- Alboż to jest o ojczyźnie, Mitricz! - osowiale protestował czarnowąsy. - To jest o babci, wcale nie o ojczyźnie!...

I Mitricz znów zapłakał...

Nazariewo - Driezna

Czarnowąsy zaś powiedział:

- Tak wiele pan widział, wiele jeździł. Proszę więc powiedzieć: gdzie bardziej cenią Rosjan, po tej czy po tamtej stronie Pirenejów?

- Nie wiem jak po tamtej. Ale po tej zupełnie nie cenią. Byłem, na przykład, we Włoszech - tam na Rosjanina nie zwracają żadnej uwagi. Nic tylko śpiewają i rysują. Jeden, dajmy na to, stoi i śpiewa. Drugi obok - siedzi i rysuje tego, co śpiewa. A trzeci nie opodal - śpiewa o tym, który rysuje... I robi się od tego coraz smutniej. Ale oni naszego smutku nie rozumieją...

- To przecież Włosi! - Czy oni w ogóle cokolwiek rozumieją!... - poparł mnie czarnowąsy.

- Właśnie. Kiedy byłem w Wenecji, w dzień świętego Marka, zapragnąłem popatrzeć na zawody wioślarskie. I tak mi było smutno z powodu tych zawodów! Serce wprost ociekało mi łzami, ale usta owładnęła niemota. A tu Włosi nic nie rozumieją, śmieją się, palcami mnie wytykają: „Patrzcie no, Jerofiejew znów łązi jak ocipiały!” Alboż ja byłem jak ocipiały! Po prostu moje usta owładnięte były niemotą... Właściwie we Włoszech nie miałem czego szukać.

Chciałem jedynie zobaczyć trzy rzeczy: Wezuwiusza, Herkulanum i Pompeję. Ale powiedziano mi, że Wezuwiusza już od dawna nie ma, i kazano jechać do Herkulanum. A w Herkulanum usłyszałem: No i po co ci, durniu, Herkulanum? Idź lepiej do Pompei. Przychodzę do Pompei, a tu mi mówią: „Kota dostałeś z tą Pompeją czy co? Szoruj do Herkulanum!...”

Machnąłem ręką i ruszyłem do Francji. Idę, idę, zbliżam się już do linii Maginota, aż tu nagle wpadło mi do głowy: nie ma co, myślę sobie, wróć, pomieszkam trochę u Luigiiego Longo, wynajmę sobie u niego łóżko, książki będę czytać, żeby nie tracić czasu na próżno. Oczywiście byłoby lepiej wynająć łóżko u Palmiro Togliattiego, no ale przecież on dopiero co umarł... dlaczego Luigi Longo ma być gorszy...

Jednak nie zawróciłem. Poszedłem przez Tyrol w kierunku Sorbony. Przychodzę na Sorbonę i mówię: chcę się uczyć, żeby dostać bakalaureat. A oni na to: „Jeżeli chcesz się uczyć, aby dostać bakalaureat, powinienes posiadać fenomenalne zdolności. A czy je masz?” No i cóż im odpowiedzieć? Mówię: „A jakże mogę mieć fenomenalne zdolności? Jestem przecież

sierotą.” „Z Syberii?” - zapytują. Odpowiadam: „Z Syberii”. „No, jeżeli z Syberii, to twoja psychika powinna być prawdziwym fenomenem. A czy jest?” Pomyślałem: to bądź co bądź nie Chrapunowo, tylko Sorbona, muszę odpowiedzieć inteligentnie. Zastanowiłem się chwilę i mówię: „Mnie - jako fenomenowi - właściwy jest samo wzrastający Logos.” A rektor Sorbony, podczas gdy ja myślałem nad tym, jakby tu inteligentnie odpowiedzieć, cichcem podkraść się od tyłu i jak nie trzaśnie mnie w kark! „Dureń jesteś - powiada - a nie żaden Logos! Precz - krzyczy - precz, Jerofiejew, z naszej sławnej Sorbony!” Pierwszy raz wtedy pożałowałem, że nie zamieszkałem u towarzysza Luigiego Longo...

I cóż mi pozostało innego niż ruszyć w miasto Paryż? Oto w nim jestem. Idę w stronę Notre-Dame, idę i nie posiadam się ze zdziwienia: dookoła same burdele. Stoi jedynie wieża Eiffla, a na niej generał de Gaulle; zajada kasztany i patrzy przez lornetkę na cztery strony świata. I jaki ma sens tak się gapić, skoro we wszystkich czterech stronach same burdele!...

Spacer po bulwarach, dajmy na to, jest tam niemożliwy. Wszyscy tylko kręcą się pomiędzy burdelem i kliniką, kliniką i burdelem. A naokoło tyle trypra, że oddychać trudno. Kiedyś, wypilem trochę i ruszyłem na Pola Elizejskie - a wokół tyle trypra, że człowiek z trudem nogi przestawia. Widzę: znajoma para - on i ona, oboje żują kasztany i oboje są starzy. Gdzie ja ich mogłem widzieć? W gazetach? Nie pamiętam, ale krótko mówiąc, zorientowałem się, że to Louis Aragon i Elsa Triolet. „To ciekawe - przemknęło mi przez głowę - skąd też oni idą: z kliniki do burdelu czy z burdelu do kliniki?” - I sam się przywołałem do porządku: „Wstydź się. Jesteś w Paryżu, a nie w Chrapunowie. Lepiej postaw przed nimi jakieś zagadnienie społeczne, najostrzejsze zagadnienie społeczne...”

Doganiam Louisa Aragona i wyznaję mu, otwierając przed nim serce, że jestem na dnie rozpacz, kompletnie zrezygnowany, że umieram na skutek wewnętrznego rozdarcia, i tak dalej, i tak dalej - a on tylko na mnie spojrzał, zasalutował mi niczym stary weteran, wziął swoją Elbę pod rękę i poszedł dalej. Znów ich doganiam, ale teraz zwracam się już nie do Louisa, lecz do Triolet. Mówię, że umieram z niedostatku wrażeń i że wątpliwości opadają mnie właśnie wtedy, kiedy wydobywam się z dna rozpacz, bo w chwilach rozpacz nie znam zwątpienia... - a ta, niczym stara dziwka, poklepała mnie po policzku, wzięła pod rękę swojego Aragona i poszła dalej...

Potem oczywiście dowiedziałem się z prasy, że to byli zupełnie inni ludzie, mianowicie Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir, ale cóż to teraz za różnica? Udałem się w okolice Notre-Dame i wynająłem tam mansardę. Mansarda, mezanin, oficyna, antresola, poddasze - wszystko to zawsze mi się płacze i nie widzę pomiędzy nimi żadnej różnicy. Krótko mówiąc, wynająłem to coś, gdzie można leżeć, pisać i palić fajkę. Wypaliłem dwanaście fajek - i

posłałem do „Revue de Paris” swój esej pod francuskim tytułem *Wytworność i szyk immer elegant*. Eсей na temat miłości.

A przecież sami wiecie, jak trudno jest we Francji pisać o miłości. Dlatego że wszystko na temat miłości już dawno napisano. Tam o niej wiedzą wszystko, u nas nie wiedzą nic. Pokaż naszemu człowiekowi ze średnim wykształceniem szankier twardy i spytaj: jaki to wrzód, twardy czy miękki? Naturalnie bąknie: „Chyba miękki”. A pokaż mu miękki, to już się zupełnie pogubi. Natomiast tam - nie. Tam może nie wiedzą, ile kosztuje dziurawcówka, ale jeżeli już szankier jest miękki, to będzie to jasne dla każdego i nikt nie nazwie go twardym...

Krótko mówiąc, „Revue de Paris” zwróciła mi mój esej pod pretekstem, że jest napisany po rosyjsku, jedynie tytuł ma francuski. I cóż pan myśli? Że pograżyłem się na dno rozpacz? Wypaliłem jeszcze trzynaście fajek - i napisałem nowy esej, również poświęcony miłości. Tym razem esej w całości napisany był po francusku, jedynie tytuł miał rosyjski: *Skurwienie jako najwyższe i ostatnie stadium dupodajstwa*. I wysłałem esej do „Revue de Paris”...

- I co, znowu odesłali? - spytał czarnowąsy, by podkreślić, że słucha z uwagą, ale jakby przez sen...

- Naturalnie, że odesłali. Język uznali za znakomity, ale fundamentalną ideę - za fałszywą. Być może, stwierdzili, sprawdza się ona w warunkach rosyjskich, ale nie we francuskich. Skurwienie, powiedzieli, w naszych warunkach to jeszcze nie najwyższe stadium, a do ostatniego w ogóle mu daleko; u was, Rosjan, dupodajstwo, osiągnąwszy granice skurwienia, zostanie przymusowo zlikwidowane i zastąpione onanizmem, zgodnie z obowiązującym programem. U nas zaś, u Francuzów, nastąpi przejście, chociaż nie można wykluczyć w przyszłości organicznego wrastania niektórych elementów rosyjskiego onanizmu (w wersji bardziej urozmaiconej) w naszą rodzimą sodomie, w którą to poprzez związki kazirodcze będzie się transformować nasze skurwienie, jednakowoż wrastanie to będzie się dokonywało w ramach naszego tradycyjnego dupodajstwa, i to jako proces zdecydowanie ciągły!...

Krótko mówiąc, całkowicie pojebali mi we łbie. Tak że plunąłem na to, spaliłem swoje rękopisy razem z mansardą czy antresolą i przez Verdun ruszyłem ku kanałowi La Manche. Szedłem, rozmyślałem i szedłem dalej - do Albionu. Szedłem i rozmyślałem: „Dlaczegoż to nie zamieszkałem u Luigiego Longo!” Szedłem i śpiewałem: „Królowa Wielkiej Brytanii ciężko chora, jej dni i noce są policzone...” I w okolicach Londynu...

- Chwileczkę - przerwał mi czarnowąsy - jestem wprost wstrząśnięty pańskim rozmachem, to znaczy, oczywiście, wierzę panu jak bratu, ale poraża mnie owa łatwość, z jaką

pokonywał pan wszystkie granice państwowe...

Driezna - 85 kilometr

- A cóż w tym takiego dziwnego! I jakie właściwie granice?! Granica potrzebna jest po to, żeby nie pomylić narodów. U nas na przykład stoi pogranicznik, który jest głęboko przekonany, że granica to nie fikcja i nie symbol, dlatego że po jednej stronie tej granicy mówią po rosyjsku i więcej piją, a po drugiej - mniej piją i mówią nie po rosyjsku...

A tam? Jakież tam mogą być granice, jeśli wszyscy jednakowo piją i wszyscy mówią nie po rosyjsku! Tam może by i chcieli gdzieś postawić pogranicznika, ale po prostu nie ma gdzie go postawić. Więc szlajają się ichni pogranicznicy bez zajęcia, nudzą się i proszą o ogień... Tak że pod tym względem istnieje tam całkowity luz... Chcesz na przykład zatrzymać się w Eboli. Proszę bardzo - zatrzymuj się w Eboli. Chcesz iść do Canossy - nikt ci nie przeszkodzi, idź sobie do Canossy. Chcesz przejść Rubikon - przechodź.

Tak więc nie ma w tym nic dziwnego... Punktualnie o dwunastej zero zero według czasu Greenwich zostałem przedstawiony dyrektorowi British Museum, nazwisko miał jakieś takie dźwięczne i niedorzeczne, bodaj sir Combi Corm. „Czym mogę panu służyć?” - zapytał dyrektor British Museum. „Chcę się u was zaangażować. Ściślej, pragnę, żeby pan mnie zaangażował, o to mi chodzi...”

„Miałbym pana zaangażować w takich spodniach?”- zdumiał się dyrektor British Museum. „Niby w jakich?” - zapytałem, skrywając urazę. A on tak jakby nie słyszał, stanął przede mną na czworakach i zaczął obwąchiwać moje skarpetki. Obniuchawszy je wstał, skrzywił się, splunął, a potem spytał: „Miałbym pana zaangażować w takich skarpetkach?”

- Niby w jakich skarpetkach? - powtórzyłem nie kryjąc już irytacji. - W jakich skarpetkach?! Otóż te, które nosiłem w ojczyźnie, rzeczywiście śmierdziały. Ale zmieniłem je przed wyjazdem, jako że w człowieku wszystko powinno być piękne: i dusza, i myśli, i...

Ale on ani myślał słuchać. Udał się do Izby Lordów i tam powiedział: „Lordowie! Stoi tu za drzwiami jakiś obrzypalec. Ze śnieżnej Rosji, ale nawet jakby niezbyt pijany. Co mam zrobić z tym nieszczęśnikiem? Zaangażować to dziwadło - czy też nie?” Lordowie obejrżeli mnie przez monokle i powiadają: „A spróbuj, William, spróbuj, wystaw go jako eksponat, ten zakurzony wypłosz wpisze się w każde wnętrze!” Wtedy zabrała głos królowa Wielkiej Brytanii. Podniosła rękę i krzyknęła...

- Kontrola! Kontrola biletów! - przetoczyło się niczym grzmot wzdłuż wagonów i raziło gromem: „Kontrolerzy”!

Moja opowieść urwała się w najbardziej interesującym miejscu. Ale nie tylko opowieść się urwała: urwała się i pijacka półdrzemka czarnowąsego, i sen dekabrysty - wszystko urwało się w połowie. Ocknął się stary Mitricz, cały we łzach, a młody - oślepił wszystkich otchłanią świszczącego ziewania, przechodzącego w śmiech i defekację. Jedna tylko kobieta o pogmatwanych losach, osłoniwszy beretem pustkę po wybitych zębach, spała jak fatamorgana...

Szczerze mówiąc, na linii pietuszkowskiej nikt się kontrolerów nie boi, dlatego wszyscy jeżdżą bez biletu. A jeżeli, nawet jakiś odszczepieniec po pijaku kupi bilet, to jest mu, ma się rozumieć, nieprzyjemnie, kiedy pojawią się kontrolerzy. Gdy podchodzą do niego, żeby okazał bilet, na nikogo nie patrzy - ani na kontrolera, ani na pasażerów, i tylko chciałby się zapaść pod ziemię. Rewizor ogląda jego bilet z prawdziwym obrzydzeniem, na niego samego też patrzy jak na oślizgłego płaza, miażdżąc. Pasażerowie zaś - pasażerowie spoglądają na frajera swoimi ogromnymi, pięknymi oczami, jakby chcieli powiedzieć: spuścił wzrok dzwoniąc, jęwejska morda, sumienie go gryzie. A kontrolerowi patrzą w twarz jeszcze bardziej zdecydowanie: oto jacy jesteście - co możesz nam zarzucić? Podejdz no do nas, Siemionycz, nie bój się...

Zanim Siemionycz został starszym rewidentem, wszystko wyglądało inaczej: wtedy gapowiczów zganiano niczym Indian do rezerwatu, walono po łbach encyklopedią Efrona i Brockhausa, potem wlepiano im karę i wyrzucano ich z wagonu. W tamte dni, zwiewając przed kontrolerami, uciekali wzdłuż wagonów jak ogarnięte paniką stado, porywając ze sobą również tych, którzy mieli bilety. Pewnego dnia na moich oczach dwóch małych chłopców, uległszy ogólnej panice, pognało wraz z uciekającymi, i stratowano ich na śmierć - leżeli potem w przejściu, ściskając w posiniąłych rączynach bilety...

Starszy rewident Siemionycz wszystko odmienił - skasował wszelkie kary i rezerwy. Uprościł też całą sprawę - pobierał od gapowicza po gramie za kilometr. W całej Rosji kierowcy biorą od łebków kopiejkę za kilometr. A Siemionycz brał półtora raza taniej - za kilometr jeden gram. Jeśli na przykład jedziesz z Czuchlinki do Usadu, które dzieli dziewięćdziesiąt kilometrów, nalewasz Siemionyczowi dziewięćdziesiąt gramów, i dalej jedziesz całkowicie spokojny, rozwalając się na ławce niczym kupiec...

I tak oto nowe porządki Siemionycza zacieśniały więź rewidenta z szerokimi masami, czyniąc ją tańszą, prostszą i zhumanizowaną... I w ogólnym rejuachu, z którego wyłania się okrzyk: „Kontrola!” - nie ma żadnego strachu. W tym harmiderze jest po prostu zapowiedź...

Siemionycz wszedł do wagonu, uśmiechając się pożądliwie. Już ledwie trzymał się na nogach, zazwyczaj dojeżdżał tylko do Oriechowa-Zujewa, w Oriechowie-Zujewie wyskakiwał i szedł do swojego biura, zachlany do urzygu...

- To znowu ty, Mitricz? Znów do Oriechowa? Pokręcić się na karuzeli? Od was obu sto osiemdziesiąt. A, czarnowąsy! Sałtykowskaja - Oriechowo-Zujewo? Siedemdziesiąt dwa gramy. Obudźcie tę dziwkę i spytajcie, ile się od niej należy. A ty, w kowerkotach, skąd i dokąd? Sierp i Młot - Pokrów? Sto pięć, pan będzie łaskaw. Coraz mniej gapowiczów. Kiedyś budziło to „gniew i oburzenie”, teraz budzi „uzasadnioną dumę”... A ty, Wienia?...

I krwio pijca Siemionycz buchnął we mnie odorem alkoholu.

- A ty, Wienia? Jak zawsze: Moskwa - Pietuszki?...

85 kilometr - Oriechowo-Zujewo

- Tak. Jak zawsze. I teraz już po wsze czasy: Moskwa - Pietuszki...

- I ty myślisz, Szeherezado, że i tym razem mi się wywiniesz?! Hę?...

Tutaj powinienem zrobić małą dygresję i - w czasie gdy Siemionycz pije swoją uczciwie zapracowaną dolę - szybko wyjaśnić wam, skąd się wzięła „Szeherezada” i dlaczego „wywiniesz się”...

Już trzy lata minęły, odkąd po raz pierwszy zetknąłem się z Sie-mionyczem. Wtedy to właśnie objął swoje stanowisko. Podszedł do mnie i spytał: „Moskwa - Pietuszki? Sto dwadzieścia pięć.” A ja nie zrozumiałem, o co chodzi, wyjaśnił mi więc sprawę. Kiedy zaś oświadczyłem, że nie mam przy sobie ani grama, odrzekł na to: „Więc co? Mam ci nakłaść po pysku za to, że nie masz przy sobie ani grama?” Odpowiedziałem mu, że nie trzeba, i wybąkałem coś, powołując się na prawo rzymskie. Okropnie się tym zainteresował i poprosił mnie,

abym szczegółowo opowiedział o wszystkim, co ma związek z Rzymem i antykiem. Zacząłem opowiadać, doszedłem właśnie do skandalicznej historii z Lukrecją i Tarkwiniuszem, gdy Siemionycz akurat musiał wyskoczyć w Oriechowie-Zujewie, tak że nie zdążył wysłuchać, co się stało z Lukrecją - dopiął swego ten niepoń Tarkwiniusz czy nie dopiął?...

Siemionycz, mówiąc między nami, to straszny babiarz i utopista, historia świata pociągała go jedynie w aspekcie łóżkowym. I kiedy po tygodniu w okolicy Friaziewa kontrolerzy znów zrobili nalot, Siemionycz nie powiedział już: „Moskwa - Pietuszki? Sto dwadzieścia pięć.” O, nie. Rzucił się do mnie, abym kontynuował swoją opowieść. „No i co? Wypierdolił w końcu tę Lukrecję?”

A ja opowiedziałem mu, co było dalej. Od historii Rzymu przeszedłem do dziejów chrześcijaństwa i doznałem już do historii z Hypatią. Mówiłem: „I oto z poduszczenia

patriarchy Cyryla, opętani, fanatyczni mnisi aleksandryjscy zdarli szaty z pięknej Hypatii i...” Ale tutaj nasz pociąg raptem stanął na stacji Oriechowo-Zujewo i Siemionycz wyskoczył na peron, zaintrygowany jeszcze bardziej niż poprzednim razem...

Tak trwało przez trzy lata, tydzień w tydzień. Na linii Moskwa - Pietuszki byłem jedynym gapowiczem, który nie dał Siemionyczowi ani grama, a jednak pozostawałem wśród żywych i nie pobitych. Ale każda historia ma swój koniec, historia świata również...

W zeszły piątek doszedłem do Indiry Gandhi, Mosze Dajana i Dubczeka. Dobilem do kresu...

I oto Siemionycz wypił swoją dołę, chuchnął i popatrzył na mnie jak boa dusiciel i sułtan Szachrijar zarazem.

- Moskwa - Pietuszki? Sto dwadzieścia pięć.

- Siemionycz! - odezwałem się na wpół błagalnie. - Siemionycz! Dużo dzisiaj wypileś?

- Wystarczająco - odparł Siemionycz, nie bez nutki samozadowolenia w głosie. Był pijany w dym.

- Więc to znaczy, że coś kojarzysz? Jesteś w stanie wejrzeć w przyszłość? Czyli możesz razem ze mną przenieść się ze świata ponurej przeszłości w złoty wiek, który już nadchodzi?...

- Mogę, Wienia, mogę! Dzisiaj wszystko mogę!...

- Od Trzeciej Rzeszy, czwartego kręgu, Piątej Republiki i siedemnastego Zjazdu - możesz przeskoczyć ze mną w świat upragnionego przez wszystkich Judejczyków Piątego Królestwa, siódmego nieba i świętego nigdy?...

- Mogę! - huczał Siemionycz. - Gadaj, gadaj, Szeherezado!

- Więc słuchaj. Będzie to dziś „wybrany ze wszystkich dni”. Tego dnia udręczony oczekiwaniem Symeon powie w końcu: „Dziś oto uwalniasz sługę Twojego, Panie.” I odezwie się archanioł Gabriel: „Święta Mario, Matko Boża, raduj się, błogosławionaś Ty między niewiastami.” A doktor Faust powie: „Trwaj, chwilo, wiecznie - chwilo, jesteś piękna!” I wszyscy ci, których imiona wpisane są w księgę życia, zakrzykną: „Ciesz się, Izajaszu!”, a Diogenes zgasi swoją latarnię. I zapanuje dobro i piękno, i wszystko będzie dobrocią, i wszyscy będą dobrzy i oprócz dobra i piękna nic już nie będzie, i wszyscy zespółą się w pocałunku...

- Zespółą się w pocałunku?... - ożywił się Siemionycz, już napalony...

- Tak! I zjednoczą się w pocałunku oprawca i ofiara, złość, złe zamiary i wyrachowanie opuszczą ludzkie serca, a kobieta...

- Kobieta!!! - zadrzał Siemionycz. - Co? Co za kobieta?!...

- A kobieta Wschodu zrzuci kwef! Raz na zawsze zrzuci z siebie kwef uciemiężona kobieta Wschodu! I legnie...

- Legnie?! - W tym momencie cały aż się zatrzęsł.

- Tak. I legnie wilk obok jagnięcia, i ni jedna łza nie zostanie przelana, i kawalerowie wybiorą sobie panny, jaka się któremu spodoba, i...

- O-o-o-o! - zaczął Siemionycz. - A prędko to nastąpi? Prędko?... - I nagle jak cygańska tancerka załamał ręce; a potem gorączkowo, płacząc się w ubraniu, zaczął ściągać z siebie i kurtkę mundurową, i spodnie, i całą resztę, aż ukazał się w swej największej intymności...

Ja, chociaż też pijany, popatrzyłem na niego z prawdziwym zdumieniem. Pasażerowie zaś, trzeźwi pasażerowie, pozrywali się z miejsc, i w dziesiątkach oczu było wypisane: „Oho”! Pasażerowie pojęli wszystko zupełnie inaczej, niż należało...

A trzeba wam wiedzieć, że homoseksualizm w moim kraju wypleniono wprawdzie ostatecznie, ale nie całkowicie. A dokładniej - całkowicie, ale nie w pełni. I jeszcze dokładniej - w pełni i całkowicie, ale nie ostatecznie. Więc co ludziska mają teraz w głowie? Tylko i wyłącznie homoseksualizm. No, i jeszcze Arabów, Izrael, wzgórze Golan,

Mosze Dajana. Dobrze, a gdyby tak przepędzić Mosze Dajana ze wzgórz Golan, a Arabów pogodzić z Żydami - to co zostanie w ludzkich głowach? Wyłącznie homoseksualizm.

Przypuśćmy, że ludzie gapią się w telewizor - generał de Gaulle i George Pompidou spotykają się na przyjęciu dyplomatycznym. Naturalnie obaj uśmiechają się i ściskają sobie ręce. A ludziska już: „Oho! Oj, ten generał de Gaulle!” Albo: „Oho! Oj, ten George Pompidou!”

I tak samo właśnie patrzyli na nas w tamtej chwili. Każdy miał w swoich okrągłych oczach wypisane „Oho!”

- Siemionycz! Siemionycz! - Schwyciłem go i wywlokłem spomiędzy ławek. - Patrz na nas!... Opamiętaj się!... Idziemy!...

Był zdumiewająco ciężki. Sflaczały i chwiejny. Z ledwością zataszczyłem go na platformę i postawiłem przy drzwiach wyjściowych.

- Wienia! Powiedz mi... kobieta Wschodu... kiedy zdejmie kwef... to czy będzie jeszcze coś na sobie miała?...

Nie zdążyłem wyjaśnić.

Pociąg znów stanął jak wryty na stacji Oriechowo-Zujewo i drzwi otworzyły się automatycznie...

Oriechowo - Zujewo

Starszego rewidenta Siemionycza, zaintrygowanego po raz tysięczny pierwszy, półżywego, rozebranego - zniosło na peron; walnął głową o balustradę... Przez moment stał jeszcze, chwiejąc się niczym trzcina myśląca, a potem gruchnął pod nogi wysiadającym pasażerom i wszystkie karne gramy za przejazdy bez biletów trysnęły z jego trzewi, bryzgając po peronie...

Wszystko to widziałem absolutnie dokładnie i mogę o tym świadczyć przed całym światem. Ale całej reszty już nie widziałem, i o niej świadczyć nie mogę. Resztką świadomości, samiutkim jej brzeżkiem, rejestrowałem, jak w Oriechowie lawina wysiadających oplotła mnie i wessała, chcąc moje ja uzbierać w sobie niczym pecynę obmierzłej śliny - i wypluć je na oriechowski peron. Ale splunięcie nie udało się, dlatego że ludzie wsiadający do wagonu zatkali głowę wysiadającym. A ja miotałem się jak gówno w przerębli.

I jeżeli tam Pan spyta mnie: „Czyżbyś, Wienia, nie zapamiętał nic więcej? Czyżbyś od razu pograżył się w ów sen, od którego zaczęły się wszystkie twoje nieszczęścia?...” - odpowiem mu: „Nie, Panie, nie od razu...” Resztką świadomości, wspomnianym już jej skrajem, zapamiętałem jeszcze, że w końcu zdołałem stawić opór tej rwącej rzece, wdrzeć się w pustkę wagonu i opaść na czyjąś ławkę, pierwszą od drzwi...

A kiedy opadłem, Panie, od razu pograżyłem się w wartkim potoku majaków i leniwego półsnu. O nie! Znów łgam, znów łgam przed Twoim obliczem, Panie! Ale to nie ja łgam, to łże moja nadwątlona pamięć! A więc nie od razu pograżyłem się w potoku, odkryłem bowiem w kieszeni napoczętą butelkę kubańskiej i łyknąłem z gwinta pięć albo więcej razy - by zaraz potem - odłożywszy wiosła - dać się unieść wartkiemu potokowi majaków i leniwej senności...

„Wszystkie wasze wymysły o złotym wieku - utrzymywałem - to kompletne, ponure łgarstwo. Ja jednak dwanaście razy, co tydzień, upajałem się jego wizją, a za pół godziny jej blask porazi moje oczy po raz trzynasty. Tam śpiew ptaków nie milknie ni dniem, ni nocą, tam ni zimą, ni latem nie przekwita jaśmin - a co jest w tych jaśminach? Kto wśród nich, obleczony w purpurę i najcieńsze płótno, opuściwszy rzęsy wacha lilie?”...

I - uśmiechając się jak idiota - rozchyliłem krzewy jaśminów...

Oriechowo - Zujewo - Krutoje

...A z krzewów jaśminu wylazł zaspany Tichonow, mrużąc oczy na widok mój i słońca.

- Co ty tu robisz, Tichonow?

- Opracowuję tezy. Wszystko już dawno było przygotowane do wystąpienia, oprócz tez.

A teraz - tezy też są gotowe...

- Czyli uważasz, że sytuacja dojrzała?

- A kto ją tam wie? Kiedy sobie krzynekę wypiję, widzi mi się, że dojrzała, a jak zaczynam trzeźwieć, to myślę, że jeszcze nie dojrzała, że jeszcze za wcześnie chwycić za broń...

- Walnij sobie jałowcówki, Wadia...

Tichonow walnął jałowcówki, odchrząknął i posmutniał.

- No jak? Dojrzała sytuacja?

- Poczekaj, zaraz dojrzeje...

- To kiedy wystąpienie zbrojne? Jutro?

- A kto je tam wie! Kiedy sobie krzynekę wypiję, widzi mi się, że można choćby dzisiaj zaczynać, że nawet wczoraj nie byłoby za wcześnie. A jak zaczynam trzeźwieć, myślę - nie, i wczoraj było za wcześnie, i pojutrze nie będzie za późno.

- Wypij jeszcze, Wadimczik, gołnij sobie jeszcze jałowcówki... Wadimczik wypił i znów posmutniał.

- No i jak? Sądysz, że już pora?...

- Pora...

- Nie zapomnij hasła. I powiedz wszystkim, żeby też nie zapomnieli: jutro rano, pomiędzy wsią Tartino i wsią Jelisiejkowo, przy folwarku zwierzęcym, punktualnie o dziewiątej zero zero według czasu Greenwich...

- Tak. O dziewiątej według czasu Greenwich.

- Do zobaczenia, towarzyszu. Postaraj się usnąć tej nocy...

- Postaram się usnąć, do zobaczenia, towarzyszu.

Tu od razu powinienem się zastrzec i w obliczu sumienia całej ludzkości wyznać uczciwie, że od samego początku byłem przeciwnikiem tej awantury, bezpłodnej niczym drzewo figowe. (Pięknie powiedziane: „bezpłodnej niczym drzewo figowe”). Od samego też początku mówiłem, że rewolucja ma sens, jeżeli dokonuje się w sercach, a nie na ulicach. Ale skoro już zaczęto beze mnie - nie mogłem zdystansować się wobec tych, którzy zaczęli. W razie czego byłbym może w stanie zapobiec zbytniemu okrucieństwu serc i zmniejszyć rozlew krwi...

O godzinie dziewiątej według czasu Greenwich, w zaroślach koło folwarku zwierzęcego, siedzieliśmy i czekali. Każdemu, kto przechodził, mówiliśmy: „Siadaj, towarzyszu, z nami - w nogach nie ma prawdy.” Każdy jednak stał szcękając bronią i powtarzał umówione zdanie z Antoniego Salieriego: „Ale wyżej też prawdy nie ma”. Filuterne to było hasło i dwuznaczne, nam jednak było nie do śmiechu: zbliżała się dziewiąta zero zero

według czasu Greenwich...

Od czego się to wszystko zaczęło? Wszystko zaczęło się od tego, że Tichonow przybił do wrót Jelisiejkowskiej rady wiejskiej czternaście swoich tez. Uściślając, nie tyle przybił je do wrót, co namazał na ogrodzeniu kredą, i były to właściwie słowa, a nie tezy, jasne i zwięzłe słowa, a było ich w sumie dwa, nie czternaście - ale jakkolwiek było, wszystko zaczęło się właśnie od tego.

Uformowani w dwie kolumny, ze sztandarami w dłoniach, ruszyliśmy - jedna kolumna na Jelisiejkowo, druga na Tartino. I szliśmy tak bez przeszkód, aż do zachodu słońca - po żadnej stronie nie było zabitych, rannych także, a jeniec był tylko jeden, dawny przewodniczący Łarionowskiej rady wiejskiej, u schyłku swych lat zdjęty ze stanowiska za pijaństwo i wrodzony debilizm. Jelisiejkowo zostało pokonane. Czerkasowo tarzało się u naszych stóp. Nieugodowo i Pieksha błagały o litość. Wszystkie ośrodki, wokół których skupiało się życie mieszkańców powiatu pietuszkowskiego - od sklepu w Połomach do andriejewskiego magazynu gminnej spółdzielni - zostały zajęte przez przeważające siły powstańców...

Po zachodzie słońca zaś wieś Czerkasowo ogłoszono stolicą, tam też odstawiono jeńca, i tam również zaimprovizowano zjazd zwycięskich powstańców. Wszyscy oni byli zalani w drobny mak, wszyscy memłali jedno i to samo: Maksymilian Robespierre, Oliver Cromwell, Sonia Pierowska, Wiera Zasulicz, oddziały pacyfikacyjne z Pietuszek, wojna z Norwegią i jeszcze raz Sonia Pierowska i Wiera Zasulicz...

W jednym miejscu krzyczano: „Gdzie ta Norwegia?...” „A kto ją tam wie! - odwrzaskiwano z innego - u diabła na kuliczkach, na końcu brody!” „Gdziekolwiek to jest - starałem się uciszyć wrzawę - bez interwencji się nie obejdzie. Żeby postawić na nogi zrujnowaną przez wojnę gospodarkę, należy najpierw ją zrujnować, dlatego potrzebna jest wojna domowa czy jakakolwiek inna, potrzebne nam jest minimum dwanaście frontów...” „Białych Polaków potrzeba!” - krzyczał dobrze już podcięty Tichonow. „Idioto - przerwałem mu - zawsze musisz coś chlapnąć! Świetny z ciebie teoretyk, Wadia, przybiliśmy twoje tezy do naszych serc - ale jak dochodzi do czynu, jesteś gównem wart! Po cóż ci, durniu, biali Polacy?...” „A czy ja się upieram! - rejterował Tichonow. - Jakby to mnie oni byli bardziej potrzebni niż wam! Dobra, Norwegia to Norwegia...”

W pośpiechu i w zapale bojowym wszyscy jakoś zapomnieli, że Norwegia od dwudziestu lat należy do NATO, i Władik C-ski już gnał na pocztę do Łarionowa z pakietem listów i pocztówek. Jeden list, polecony, był adresowany do króla Norwegii Olafa. Zawierał notę o wypowiedzeniu wojny. Drugi list, a dokładniej czysta kartka papieru w zaklejonej

kopercie, został wysłany do generała Franco - niech ujrzy w nim groźny palec losu, stary pierdoła, niechaj zbieje jak owa kartka zgrzybiały jebaka. Caudillo! Od premiera imperium brytyjskiego zażądaliśmy niewiele: żeby zabrał swoją kretyńską kanonierkę z zatoki Akaba, a potem robił, co mu się podoba. I wreszcie czwarty list - do Władysława Gomułki. Pisaliśmy tam: Władysławie Gomułko, masz pełne i niekwestionowane prawo do Polskiego Korytarza, podczas gdy Józef Cyrankiewicz nie ma do niego najmniejszego prawa...

Wysłaliśmy też cztery pocztówki. Do Abby Ebana, Mosze Dajana, generała Suharto i Aleksandra Dubczeka. Wszystkie cztery pocztówki były bardzo ładne, z winietkami i żółędziami. Żeby się ucieszyli chłopaki, może i nas" fajtlapy uznają dzięki temu za podmiot prawa międzynarodowego...

Nikt tej nocy nie spał, wszystkich ogarnął entuzjazm, wszyscy patrzyli w niebo, oczekując norweskich bomb, otwarcia sklepów, i wyobrażali sobie, jak się będzie cieszył Władysław Gomułka i wyrywał sobie włosy z głowy Józef Cyrankiewicz...

Jeniec również nie spał - były przewodniczący rady wiejskiej Anatolij Iwanycz był w swojej drewnutni jak stęskniony pies:

- Chłopaki!... Czy to ma znaczyć, że jutro z rana nikt mi nawet chlapnąć nie da?...

- Widzisz go, zachciało mu się! Dziękuj Bogu i za to, że będziemy cię żywić zgodnie z konwencją genewską!...

- A co to takiego?...

- Sam zobaczysz! To znaczy, Iwanycz, że nogi jeszcze będziesz ciągnął za sobą, ale na dziwki stracisz ochotę...

Krutoje - Woinowo

A z rana, jeszcze przed otwarciem sklepów, odbyło się plenum. Rozszerzone i październikowe. Ale ponieważ wszystkie cztery nasze posiedzenia plenarne miały być październikowe i rozszerzone, więc żeby ich nie popłatać, postanowiliśmy je ponumerować: pierwsze plenum, drugie plenum, trzecie plenum i czwarte plenum...

Całe pierwsze plenum było poświęcone wybraniu prezydenta, czyli wybraniu na prezydenta mnie. To zajęło nam od półtorej do dwóch minut, nie więcej. Resztę czasu pochłonęły debaty czysto teoretyczne: kto wcześniej otworzy sklep, ciocia Masza w Andriejewskiem czy ciocia Szura w Połomach. Ja zaś, siedząc za stołem prezydialnym, przysłuchiwałem się tym debatom i myślałem: debaty są absolutnie niezbędne, ale znacznie bardziej niezbędne są dekrety. Dlaczego zapominamy o tym, czym powinna być uwieńczona

wszelka rewolucja, to znaczy o dekretach? Choćby taki na przykład dekret: zobowiązać ciocię Szurę w Połomach, aby otwierała sklep o szóstej rano. Doprawdy nie ma nic prostszego dla nas, obdarzonych władzą, niż zmusić ciocię Szurę, aby otwierała swój sklep o szóstej rano zamiast o dziewiątej trzydzieści! Że też wcześniej nie wpadło mi to do głowy!...

Albo na przykład dekret o ziemi: przekazać ludowi całą ziemię w powiecie, wszystkie grunty użytkowe i ruchomości oraz cały alkohol bez żadnego odszkodowania. Albo: przesunąć wskazówki zegara o dwie godziny naprzód lub półtorej godziny do tyłu, wszystko jedno, byle tylko przesunąć. Następnie: nakazać, aby słowo „diabeł” znowu pisało się przez „y”, a jakąś literę w ogóle zlikwidować, trzeba się tylko zastanowić jaką. I na koniec, zmusić ciocię Maszę w Andriejewskiem, żeby otwierała sklep o piątej trzydzieści, a nie o dziewiątej...

Myśli kłębiły się, wprawiając mnie na koniec w smutek; wyciągnąłem Tichonowa do kularów, walnęliśmy sobie kminkówki, i wtedy powiedziałem:

- Słuchaj no, kanclerzu!

- O co chodzi?

- O nic. Gówniany z ciebie kanclerz i tyle.

- To znajdź innego - obraził się Tichonow.

- Nie na tym rzecz polega, Wadia. Powiem ci na czym: skoro jesteś dobrym kanclerzem, siadaj i pisz dekrety. Wypij jeszcze trochę, siadaj i pisz. Słyszałem, żeś jednak nie wytrzymał i uszczypnąłeś w udo Anatolija Iwanycza? Cóż to - terror wprowadzasz?

- Tak... trochę...

- I jaki terror wprowadzasz? Biały?

- Biały.

- Bez sensu, Wadia. Zresztą, dobrze, teraz nie o to chodzi. Najpierw musisz napisać dekrety, chociaż jeden, choćby najmarniejszy... Papier, atrament masz? Siadaj i pisz. A potem walniemy - i weźmiemy się do deklaracji praw. Dopiero potem można myśleć o terrorze. A wreszcie wypijemy i będziemy uczyć się, uczyć, uczyć...

Tichonow napisał dwa słowa, wypił i westchnął:

- Taaak... zagalopowałem się z tym terrorem... No, ale cóż, w takiej sprawie jak nasza trudno się nie pomylić. Dlatego że nasza sprawa jest czymś niesłychanie nowym, no i precedensów także brak... To znaczy, precedensy właściwie były, ale...

- Eee, alboż to były precedensy! To czysta kpina! Lot trzmiela, zabawy dorosłych figlarzy, a nie precedensy!... Jak myślisz, zmienić kalendarz czy zostawić, tak jak jest?

- Lepiej zostawić. Jak to mówią, nie ruszaj gówna, bo śmierdzi...

- Masz rację, zostawimy. Uważam cię za świetnego teoretyka, Wadia, a to dobrze.

Może zamykać plenum, co? Ciocia Szura w Połomach już otworzyła sklep. Ma podobno rosyjską.

- Oczywiście że zamknąć. Jutro z rana tak czy siak zacznie się drugie plenum... Walmy do Połomów.

U cioci Szury w Połomach w samej rzeczy była rosyjska. W związku z tym, a także w oczekiwaniu ekspedycji karnych z centrum rejonu, zdecydowano tymczasowo przenieść stolicę z Czerkasowa do Połomów, to znaczy dwanaście wiorst w głąb terytorium republiki.

I tam też następnego ranka otwarto drugie plenum, w całości poświęcone mojemu ustąpieniu ze stanowiska prezydenta.

- Opuszczam fotel prezydencki - oświadczyłem w swoim wystąpieniu - pluję na prezydencki fotel. Sądzę, że fotel prezydenta powinien zająć człowiek, którego ryj po przechlaniu trzech dni będzie jeszcze jako tako wyglądał. A czyż są tacy wśród nas?

- Nie ma - chórem odpowiedzieli delegaci.

- Mój ryj na przykład - czy wygląda jeszcze po ludzku na trzeci dzień po zachlaniu?

Na sekundę czy dwie wszyscy wpatrzyli się w moje oblicze, oceniając je, a potem znów odpowiedzieli chórem: „Nie”.

- A zatem - kontynuowałem - obejdzimy się bez prezydenta. Lepiej zrobmy tak: wszyscy chodźmy na łękę przyrządzać poncz, a Borię zamknijmy na klucz. Ponieważ jest to człowiek wybitnie wartościowy, niech siedzi sobie tutaj i formuje gabinet...

Moje przemówienie przerwały owacje, po czym plenum zostało zamknięte, a okoliczne łąki rozjarzyły się błękitnym ogniem. Jedynie ja nie podzielałem ogólnego ożywienia oraz wiary w sukces i łąziłem pośród tych ogni, nękany jedną tylko zatrważającą myślą: skąd to milczenie świata?

Cały powiat ogarnięty płomieniem, a świat milczy - no dobrze, przypuśćmy, że mu dech zaparło, ale czemu nikt nie podaje nam ręki ani ze Wschodu, ani z Zachodu? Co sobie myśli król Olaf? Dlaczego nie nacierają na nas od południa regularne oddziały?... Po cichu odciągnąłem kanclerza na bok; zionęło od niego ponczem.

- Podoba ci się, Wadia, nasza rewolucja?

- Tak - odparł Wadia - jest trochę nerwowa, ale piękna.

- Tak... A w sprawie Norwegii, Wadia, w sprawie Norwegii nic nie słyhać?

- Na razie nic... A na co ci Norwegia?

- Co to znaczy, na co mi Norwegia?!... Jesteśmy z nią w stanie wojny czy nie jesteśmy? Bardzo to wszystko głupio wygląda. My prowadzimy wojnę z nią, a ona z nami nie chce... Jeśli jutro nie zaczną nas bombardować, znów zasiądę na prezydenckim fotelu, a wtedy zobaczysz,

co będzie!

- Zasiądź - odparł Wadia - kto ci przeszkadza, Jerofiejczyk?... Jeśli tylko masz ochotę - zasiadaj...

Wojnowo - Usad

Ani jedna bomba nie spadła na nas również nazajutrz. Wówczas otwierając trzecie plenum powiedziałem:

„Senatorowie! Nikt na świecie, jak widzę, nie chce zacieśniać z nami więzów przyjaźni, ani wchodzić w konflikt. Wszyscy odwrócili się od nas i wstrzymali oddech. A ponieważ oddziały pacyfikacyjne z Pietuszek będą tutaj jutro przed wieczorem, rosyjska zaś u cioci Szury skończy się jutro rano - biorę w swoje ręce pełnię władzy; jeśli ktoś jest durniem i nie rozumie, co to znaczy, wyjaśnię mu: wprowadzam godzinę policyjną. Mało tego - ogłaszam, że prezydent będzie miał uprawnienia nadzwyczajne, i tym samym mianuję się prezydentem. To znaczy „osobą stojącą ponad prawem i prorokami”...

Nikt się nie sprzeciwił. Jeden tylko premier Boria S. przy słowie „prorocy” wzdrygnął się, popatrzył na mnie dziko, i cała jego górna połowa zatrzęsała się z żądzы odwetu...

Po dwóch godzinach wyzionął ducha na rękach ministra obrony. Umarł z żalu i nadmiernej skłonności do uogólnień. Innych przyczyn bodaj nie było, a sekcji zwłok nie robiliśmy, ponieważ uznaliśmy to za odrażające. Pod wieczór zaś tego dnia wszystkie teleksy świata odebrały komunikat: „Śmierć nastąpiła na skutek przyczyn naturalnych”. Kto umarł, nie było powiedziane, ale świat się domyślał.

Czwarte plenum było plenum żałobnym.

Wystąpiłem z następującym przemówieniem:

„Delegaci! Jeśli będę miał kiedykolwiek dzieci, powieszę im na ścianie portret prokuratora Judei Piłata, aby wyrosły na ludzi nieskazitelnie czystych. Prokurator Poncjusz Piłat stoi i umywa ręce - oto jaki będzie ten portret. Dokładnie tak samo i ja: wstaję i umyвам ręce. Przyłączyłem się do was po prostu dlatego, że się zachlałem, i na przekór wszelkiej oczywistości. Mówiłem wara, że należy rewolucjonizować serca, że należy sprawić, by dusze przyswoiły sobie ponadczasowe kategorie moralne - a cała reszta, czyli wszystko to, coście tutaj przedsięwzięli, to jedynie czcza krzątania i udręczenie dla ducha, bezsensowna chujowizna...

Na co możemy liczyć, pomyślcie sami! Do Wspólnego Rynku nikt nas nie przyjmie. Okręty amerykańskiej Siódmej Floty tutaj nie dopłyną, ba, nawet nie zechcą dopłynąć...”

Wtedy zaczęto wrzeszczeć z sali:

- Nie łam się, Wienia! Nie pękaj! Dostaniemy bombowce! Dadzą nam W-52!

A jakże! Dadzą nam W-52! Trzymajcie mnie! Po prostu śmiech bierze was słuchać, senatorowie!

- „Phantomy” też dadzą!

- Cha-cha! Kto powiedział: „Phantomy”? Jeszcze jedno słowo na temat „Phantomów” i pękne ze śmiechu...

Wówczas Tichonow odezwał się z miejsca:

- „Phantomów” może i nie dadzą - no, ale dewaluację franka na pewno...

- Dureń z ciebie, Tichonow, jakby na to nie patrzeć! Bez wątpienia, wybitny z ciebie teoretyk, ale jak już coś chlapniesz!... A zresztą nie o to chodzi. Dlaczego, kiedy cały rejon pietuszkowski ogarnięty jest ogniem walk, nikt, dosłownie nikt tego nie zauważa, nawet tu, w pietuszkowskim rejonie? Krótko mówiąc, ja osobiście to olewam i rezygnuję ze stanowiska prezydenta. Niczym Poncjusz Piłat umywam ręce i dopijam przed wami ostatek rosyjskiej. Tak, depczę swoje pełnomocnictwa - i odchodzę. Do Pietuszek.

Możecie sobie wyobrazić, jaka burza rozpetęła się wśród delegatów, zwłaszcza gdy dopijałem to, co jeszcze zostało!...

A kiedy odchodziłem, kiedy odszedłem - jakie słowa poleciały za mną! To również możecie sobie wyobrazić, bo ja tych słów wam cytować nie będę...

W moim sercu nie było skruchy. Szedłem przez łąki i pastwiska, poprzez głogowe zarośla i stada krów, kłaniały mi się w polu zboża i uśmiechały się do mnie bławatki. Ale, powtarzam, w moim sercu nie było skruchy... Słońce zaszło, a ja wciąż szedłem.

„Królowo Niebieska, jak daleko jeszcze do Pietuszek?”! - mówiłem sam do siebie. „Idę, idę, a Pietuszek jak nie ma, tak nie ma. Ciemno już wokół - gdzież te Pietuszki!”

„Gdzież te Pietuszki?” - spytałem, podchodząc do czyjejś oświetlonej werandy. Skąd się wzięła ta weranda? Może to wcale nie weranda, tylko taras, mezanin albo oficyna? Zupełnie się w tym nie orientuję i zawsze wszystko płaczę.

Zastukałem i pytam: „Gdzież te Pietuszki? Daleko jeszcze do Pietuszek?” A w odpowiedzi wszyscy, którzy byli na werandzie, gruchnęli śmiechem - i ani słowa. Obraziłem się i znów zastukałem - ale na werandzie znów zarechotano. Dziwne! Mało tego - ktoś rechotał za moimi plecami.

Obejrzałem się - pasażerowie pociągu Moskwa - Pietuszki siedzieli na swoich miejscach i obleśnie się uśmiechali. Ach tak! To znaczy, że ja wciąż jeszcze jadę?...

„Nie szkodzi, Jerofiejew, nie szkodzi. Niech się śmieją, nie zwracaj na to uwagi. Jak

powiedział Saadi, bądź prosty i szczery jak cyprys, i jak palma szczodry. Nie rozumiem, co ma do tego palma, ale dobrze, wszystko jedno, bądź jak palma. Została ci jeszcze w kieszeni kubańska? Została. No więc wyjdź na platformę i walnij. Walnij sobie - żeby cię tak nie mdliło.”

Wyszedłem na platformę, a wokół mnie zacieśniał się krąg kretyńskich uśmieszków. Lęk podnosił się z samego dna mojej duszy, i nie sposób było zrozumieć, co to za lęk, skąd i dlaczego taki nieokreślony...

- Dojeżdżamy do Usadu, tak? - Ludzie kłębili się przy drzwiach, szykując się do wyjścia, i do nich to zwróciłem swoje pytanie: - Dojeżdżamy do Usadu?

- Zamiast po pijaku zadawać głupie pytania, siedziałbyś lepiej w domu - wyrwał się jakiś staruszek. - W domu byś lepiej siedział i lekcje odrabiał. Na pewno jeszcze lekcji nie odrobiłeś na jutro, mama będzie zła.

A potem dodał:

- Ledwo od ziemi odrósł, a już pyskuje!...

Co to, kota dostał dziadyga? Jaka mama? Jakie lekcje?... Od jakiej ziemi?... Ależ nie, na pewno to nie dziad dostał świra, tylko ja sam świruję. Dlatego że i drugi staruszek z kredowobiałym obliczem stanął obok, obciął mnie wzrokiem od stóp do głów i powiedział:

- A tak w ogóle, to dokąd chcesz jechać? Na ożenek za późno, na cmentarz za wcześnie. Dokąd chcesz jechać, miła pątniczko!...

„Miła pątniczko”?!

Wzdrygnąłem się i odszedłem w drugi koniec platformy. Coś niedobrego dzieje się na świecie. Jakąś zgnilizną cuchnie w całym królestwie i wszyscy są na bakier z rozsądkiem. Na wszelki wypadek obmacałem się dyskretnie - jakaż tam ze mnie „mila pątniczka”? Skąd mu się to wzięło? I po co? Można oczywiście pożartować - ale przecież nie tak głupio!

Ja jestem przy zdrowych zmysłach, a oni wszyscy nie, czy na odwrót - oni wszyscy są przy zdrowych zmysłach, a ja jeden nie? Trwoga podnosząca się z głębi duszy wciąż rosła. Kiedy więc zatrzymaliśmy się na stacji i drzwi się otwały, nie wytrzymałem i spytałem jeszcze raz jednego z wychodzących:

- To Usad, tak?

A on (zupełnie nieoczekiwanie) stanął na baczność przede mną, wyprostowany jak struna, i wrzasnął: „W żadnym wypadku!” Potem zaś - potem uściśnął mi dłoń i pochyliwszy się wyszeptał mi wprost do ucha: „Nigdy nie zapomnę waszej dobroci, towarzyszu starszy lejtnancie!...

I wysiadł z pociągu, otarłszy łzę rękawem.

Usad - 105 kilometr

Pozostałem na platformie, bezgranicznie samotny, bezgranicznie zdumiony. Było to jednak nie tyle zdumienie, co ciągle ten sam lęk, przechodzący w gorycz. Koniec końców, do cholery z tym, niech sobie będzie „miła pątniczka”, niech sobie będzie „starszy lejtnant” - ale dlaczego za oknem jest ciemno, powiedzcie mi, proszę! Dlaczego za oknem mrok, jeśli pociąg wyjechał rano i przejechał równo 100 kilometrów?... Dlaczego?...

Przyłgnałem czołem do okna - o, jaki mrok! I co jest tam, w tym mroku - deszcz czy śnieg? A może po prostu gapię się w ten mrok przez łyżę? O Boże.

- A! To ty! - odezwał się ktoś za moimi plecami głosem tak przymilnym i tak złośliwym, że się nawet nie odwróciłem. W lot pojąłem, kto stoi za moimi plecami. „Kusić teraz zacznie, zakazana mordą! Też sobie znalazł porę na kuszenie!”

- To ty, Jerofiejew? - zapytał Szatan.

- Oczywiście że ja. A któż by inny?...

- Ciężko ci, Jerofiejew?

- Oczywiście że ciężko. Tylko że tobie nic do tego. Idź do cholery, źleś trafił... - Wszystko to mówiłem, utknąwszy łbem w oknie platformy, odwrócony do niego tyłem.

- Jak ci tak ciężko - ciągnął Szatan - pohamuj swój zapal. Uśmierz poryw swej duszy - lżej ci będzie.

- Za nic nie uśmierzę.

- Dureń z ciebie.

- I tobie nic nie brakuje.

- No, dobra, dobra... już nawet słowa nie można powiedzieć!... Lepiej zrób tak: wyskocz w biegu z pociągu. A nuż się nie zabijesz...

Pomyślałem chwilę, a potem odparłem:

- Nie, nie będę skakał, boję się. Na pewno się zabiję... I zawstydzony Szatan oddalił się.

A ja - cóż mi innego pozostawało? - wałęsałem z dzioba sześć łyków i znów przypadłem głową do okna. Mrok za szybą płynął nieustannie i nieustannie napawał lękiem. Budził mroczne myśli. Ścisnąłem głowę, żeby je sprecyzować, ale nie dały się sprecyzować, tylko rozlewały się niczym piwo po stole. „Nie podoba mi się ciemność za oknem, bardzo mi się nie podoba.”

Ale sześć łyków kubańskiej już podchodziło do serca, powolutku, jeden za drugim, i serce wstąpiło samowtór w szranki z rozsądkiem...

„A dlaczegoż to nie podoba ci się ta ciemność? Ciemność to ciemność i nic nie wskórasz. Ciemność zamienia się w światło, a światło zamienia się w ciemność - taki jest mój pogląd. A jeśli nawet ci się ona nie podoba, to od tego ciemnością być nie przestanie. Tak więc pozostaje jedno wyjście - zaakceptować ją. Odwiecznym prawom natury, my, głupcy, nie jesteśmy w stanie się przeciwstawić. Zatkawszy lewe nozdrze, możemy jedynie wysmarować się prawym. Czyż nie mam racji? I na nic zda się żądać jasności za oknem, jeśli za oknem jest ciemność...”

„No tak, racja... ale przecież wyjechałem rano... ósma szesnaście, z Kurskiego...”

„I cóż z tego, że rano!... Teraz, chwała Bogu, mamy jesień, dni są krótkie, nie zdążysz się opamiętać i - bach! Ciemno... A przecież do Pietuszek jedzie się ho-ho-ho jak długo! Ho-ho-ho jak długo jedzie się z Moskwy do Pietuszek!...

Dlaczego „ho-ho-ho”? Dlaczego wciąż słyszę od ciebie „ho-ho-ho-ho” i „ho-ho-ho”? Z Moskwy do Pietuszek jedzie się równo dwie godziny i piętnaście minut. W zeszły piątek, na przykład...

„O co ci chodzi z tym zeszłym piątkiem?! Mało to się zdarzyło w zeszły piątek! W zeszły piątek pociąg jechał prawie bez przystanków. Zresztą w ogóle pociągi dawniej szybciej jeździły... A teraz, diabli wiedzą dlaczego, stanie sobie taki pociąg i stoi - ale po co stoi? Czasem aż niedobrze się człowiekowi robi - dlaczego wciąż stoi i stoi? I tak przy każdym słupie. Oprócz Jesina...

Spojrzałem w okno i znów spochmurniałem.

„Taaak... a jednak to dziwne... Wyjechaliśmy o ósmej rano... i ciągle jeszcze jedziemy...”

Tu serce oburzyło się: „A inni? A inni to co - gorsi od ciebie? Inni przecież też jadą i nie pytają, dlaczego tak długo i dlaczego tak ciemno? Jadą sobie spokojniutko i wyglądają przez okno... Dlaczego ty miałbyś jechać szybciej niż oni? Aż śmiech bierze cię słuchać, Wienia, śmiech i obrzydzenie... Jakiś ty niecierpliwy! Jeśli wypieś, Wienia, to bądź skromniejszy i nie sądz, że jesteś mądrzejszy i lepszy od innych!...”

To mnie już zupełnie uspokoiło. Znów wróciłem z platformy do wagonu i siadłem na ławeczce, starając się nie patrzeć w okno: wszyscy pasażerowie, pięć czy sześć osób, drzemali z opuszczonymi głowami jak niemowlęta... Ja sam omal się nie zdrzemnąłem...

Nagle aż podskoczyłem na siedzeniu. „Boże miłosierny! Ale przecież o jedenastej ona powinna na mnie czekać! O jedenastej będzie już na mnie czekać - a na dworze zupełnie ciemno... To znaczy, że przyjdzie mi czekać na nią aż do brzasku. Nie wiem przecież, gdzie ona mieszka. Trafiałem na miejsce dwanaście razy, zawsze jakimiś tam opłotkami i zalany w

drobny mak... Aż wstyd, że trzynasty raz jadę do niej absolutnie trzeźwy. I przez to przyjdzie mi czekać, aż się wreszcie rozwidni! Kiedy zaświta na koniec jutrzienka mojego trzynastego piątku!

Zresztą stop! Przecież jak wyjeżdżałem z Moskwy, jutrzienka mojego piątku już wzeszła. To znaczy, że dzisiaj jest piątek! Więc dlaczego tak ciemno za oknem?!...”

„Znowu!... Znowu wyjeżdżasz z tą swoją ciemnością! Dała ci się we znaki ta ciemność!”

„Ale przecież w zeszły piątek...”

„Znów ten zeszły piątek! Widzę, Wienia, że bez reszty jesteś pogrążony w przeszłości. Widzę, że o przyszłości w ogóle nie chcesz myśleć!...”

„Nie, nie, posłuchaj... W zeszły piątek, punkt jedenasta rano ona stała na peronie, z warkoczem od karku do pupska... i było bardzo jasno, dobrze pamiętam, warkocz też dobrze pamiętam...”

„Co tam warkocz! Zrozum, durniu, powtarzam, dnia teraz ubywa, dlatego że jest jesień. W zeszły piątek o jedenastej, nie zaprzeczam, było widno. A w ten piątek o jedenastej może być już absolutnie ciemno, choć oko wykol. Wiesz ty, jak teraz dnia ubywa!? Wiesz?! Widzę, że nic nie wiesz, a tylko się chwalisz, że wiesz!... Też powiedziałeś: «Warkocz»! Tak, warkocza to może i przybywa: mógł od zeszłego piątku urosnąć i sięga już teraz poniżej pupska... A jesienny dzień na odwrót, tyle go co nic...

Jakiś ty jednak tępy, Wienia!”

Wymierzyłem sobie niezbyt mocny policzek, gołnąłem jeszcze trzy łyki - i rozplakałem się. Z dna duszy zamiast trwogi podniosła się wezbraną falą miłość. Zupełnie się rozkleiłem. Obiecałeś jej purpurę i lilie, a wiesziesz trzydzieści deka cukierków «bławatków». I oto już za dwadzieścia minut będziesz w Pietuszkach, i na zalanym słońcem peronie wręczysz jej speszony te «bławatki». A wszyscy będą gadać: „Już trzynasty raz pod rząd widzimy te «bławatki”» Ale ani razuśmy... Ale ani razu nie widzieliśmy ni lilii ni purpury.” Ona zaś roześmieje się i powie: «...»,,

Tu już bodaj na dobre przysnąłem. Opuściłem głowę na ramię i nie chciałem jej już podnosić do samych Pietuszek. Znów uniósł mnie potok...

105 kilometr - Pokrow

Ale przeszkodzono mi i potok nie zdołał mnie unieść. Ledwie zdążyłem mu się poddać, a tu nie wiedzieć kto wali mnie ogonem po plecach.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem: przede mną stał ktoś bez nóg, bez ogona i bez głowy.

- Ktoś ty? - spytałem w najwyższym zdumieniu.

- Zgadnij kto! - i roześmiał się, całkiem jak ludożerca...

- Jeszcze czego! Będę zgadywał!...

Urażony odwróciłem się od niego, by znów zapaść w niebyt. Ale nie wiadomo kto znowu z rozmachu wałnął mnie głową w plecy. Ponownie się odwróciłem - przede mną stał ciągle ten sam ktoś bez nóg, bez ogona i bez głowy...

- Dlaczego mnie bijesz? - spytałem.

- Zgadnij dlaczego!... - odparł, cały czas z tym samym ludożerczym śmiechem.

Tym razem mimo wszystko zdecydowałem się zgadywać. Jeśli człowiek się od niego odwróci, gotów przyładować w plecy nogami...

Spuściłem wzrok i zamyśliłem się. On - podczas gdy ja się zastanawiałem - czekał i przy tym powoli wodził piąchą tuż przed moim nosem. Jakby mi, durniowi, smarki wycierał...

A jednak to on odezwał się pierwszy:

- Do Pietuszek jedziesz? Do miasteczka, gdzie ni zimą, ni latem nie przekwita jaśmin i tak dalej?... Gdzie...

- Tak. Gdzie ni zimą, ni latem jaśmin nie przekwita i tak dalej.

- Gdzie twoja lafirynda łajdaczy się w jaśminie i w najcieńszych płótnach, i ptaszki nad nią fruwały i całują ją tam, gdzie tylko zapragną?

- Tak. Gdzie tylko zapragną.

Znów się roześmiał i wyrznął mnie w dołek.

- No więc słuchaj. Oto stoi przed tobą Sfinks. I on nie wpuści cię do tego miasta.

- Dlaczego mnie nie wpuści? Dlaczego mnie nie wpuścisz? A cóż tam takiego jest w tych Pietuszkach? Morowa zaraza? Ktoś się ożenił z własną córką? I ty...

- Nie, to coś gorszego od córki i zarazy. Ja wiem najlepiej, co tam jest I jeżeli ci powiedziałem, że cię nie wpuszczę, to znaczy, że nie wpuszczę. Dokładniej, wpuszczę pod jednym warunkiem - że odgadniesz pięć moich zagadek.

„Po cholerę temu łajdakowi zagadki?” - pomyślałem. A na głos powiedziałem:

- No, przestań mnie dręczyć i dawaj te swoje zagadki. Zabierz ten kułak, nie wal w przepoń, tylko dawaj zagadki.

„Po co temu jebańcowi zagadki?” - pomyślałem raz jeszcze. Ale on już zaczął pierwszą:

„Wybitny przodownik pracy Aleksiej Stachanow dwa razy dziennie chodził za małą potrzebą, i raz na dwa dni - za dużą. A kiedy zdarzyło mu się zalać pałę, cztery razy dziennie chodził za małą potrzebą i ani razu za dużą. Policz, ile razy w roku przodownik Aleksiej

Stachanow chodził za małą potrzebą i ile razy za dużą przy założeniu, że przez trzysta dwanaście dni był naprany.”

Pomyślałem w duchu: „Do kogo on robi aluzje, bydlak? Do toalety nigdy nie chodzi? Chleje tak, że nie trzeźwieje? Do kogo robi aluzje, gadzina?...”

Obraziłem się i mówię:

- To głupia zagadka, Sfinksie, to zagadka ze świńskim podtekstem. I nie będę jej odgadywał.

- Aha, nie będziesz! No, no! Ale ty mi jeszcze zaśpiewasz! Słuchaj drugiej:

„Kiedy okręty amerykańskiej Siódmej Floty zakotwiczyły na stacji Pietuszki, partyjnych dziewcząt tam nie było, no ale jeśli komsomołki można uznać za partyjne, to co trzecia była blondynką. Po odbiciu okrętów Siódmej Floty okazało się, co następuje: co trzecia komsomołka została zgwałcona, co czwarta zgwałcona okazywała się komsomołką, co piąta zgwałcona komsomołka była blondynką; co dziewiąta zgwałcona blondynka okazywała się komsomołką. Jeżeli wszystkich dziewcząt jest w Pietuszkach czterysta dwadzieścia osiem - oblicz, ile pozostało nietkniętych bezpartyjnych brunetek?”

„Do kogo teraz robi aluzje, skurwiel? Dlaczegoż to wszystkie brunetki pozostały nietknięte, a blondynki wszystkie dokumentnie zgwałcone? Co chce przez to powiedzieć, menda?”

- Nie będę rozwiązywać tej zagadki, Sfinksie. Daruj, ale nie będę. To bardzo nieprzyzwoita zagadka. Ładuj lepiej trzecią.

- Cha-cha! Niech będzie trzecia:

„Jak wiadomo, w Pietuszkach nie ma punktu A. Punktu C nie ma tym bardziej. Są jedynie punkty B. Otóż Papanin, pragnąc uratować Wodopjanowa, wyszedł z punktu B1 w stronę punktu B2. W tym samym momencie Wodopjanow, pragnąc uratować Papanina, szedł z punktu B2 do punktu B1. Nie wiadomo dlaczego obaj znaleźli się w punkcie B3, oddalonym od punktu B1 o odległość dwunastu splunięć Wodopjanowa, a od punktu B2 - o odległość szesnastu splunięć Papanina. Przy założeniu, że Papanin słuwał na odległość trzech metrów siedemdziesięciu dwóch centymetrów, a Wodopjanow w ogóle pluć nie potrafił, to czy Papanin naprawdę wyruszył Wodopjanowowi na ratunek?”

„O mój Boże! Czy ten parszywy Sfinks kompletnie sfiksował? I co on gada? Dlaczego w Pietuszkach nie ma punktu A ani C, tylko punkty B? Do kogo ten skunks robi aluzje?...”

- Cha-cha! - ryknął Sfinks, zacierając ręce. - I tej też odgadywać nie będziesz? Nie będziesz? Zatkło cię, ty smętny wymoczku? No to masz czwartą zagadkę:

„Lord Chamberlain, premier Wielkiej Brytanii, wychodząc z restauracji dworcowej w

Pietuszkach, pośliznął się na czyichś rzygowinach i padając przewrócił sąsiedni stolik. Na stoliku do chwili jego przewrócenia stały dwa ciastka po 35 kopiejek, dwie porcje strogonowa po 75 kopiejek każda, dwie porcje wymienia po 39 kopiejek i dwie karafki kseresu po 800 gramów każda. Wszystkie naczynia pozostały całe. Żadne danie nie nadawało się do spożycia. Co do kseresu, to jedna karafka pozostała cała, ale kseres z niej wyciekł, druga rozbiła się w drobny mak, ale nie wyciekła z niej ani jedna kropla. Przy założeniu, że cena pustej karafki jest sześć razy wyższa niż cena porcji wymienia, a kseresu cenę zna każde dziecko, oblicz, jaki rachunek przedstawiono lordowi Chamberlainowi, premierowi Wielkiej Brytanii, w restauracji na dworcu Kurskim.”

- Jak to: „na dworcu Kurskim”?

- Tak to: „na dworcu Kurskim”!

- A gdzie on się pośliznął? Mówiłeś, że w Pietuszkach. Lord Chamberlain pośliznął się przecież w pietuszkowskiej restauracji!...

- Ale rachunek zapłacił na dworcu Kurskim. Ile wyniósł ten rachunek?

„Boże ty mój! Skąd się biorą takie sfinksy? Bez nóg, bez głowy, bez ogona, a na dodatek jeszcze wypłatają kompletne brednie! I jakie mają bandyckie pyski!... Do czego on, kanalia, robi aluzje?...”

- To nie zagadka, Sfinksie, to jakieś kpiny.

- Nie, to nie kpiny, Wienia. To zagadka. Jeżeli ci się nie podoba, to...

- Jazda, dawaj ostatnią zagadkę! Jazda!

„Otóż idzie sobie Minin, a naprzeciw niemu wychodzi Pożarski. «Jesteś jakiś dziwny dzisiaj, Minin - powiada Pożarski. - Chybaś sporo wypił?» - «Tak, i ty też jesteś dziwny, Pożarski, idziesz, a idąc zasypiasz.» - «Powiedz mi uczciwie, Minin, ileś dzisiaj wypił?» - «Już ci mówię: na początek sto pięćdziesiąt gramów rosyjskiej, potem pięćset osiemdziesiąt kubańskiej, sto pięćdziesiąt stolicznej, sto dwadzieścia pięć pieprzówki i siedemset gramów piwa z wodą. A ty?» - «ja tyle samo, Minin.».

«A dokąd teraz idziesz, Pożarski?» - «Jak to dokąd? Do Pietuszek, oczywiście. A ty Minin?» - «Ja również do Pietuszek. Ale ty, kniaziu, idziesz w przeciwną stronę!» - «Nie, to ty idziesz w przeciwną stronę, Minin.» Krótko mówiąc przekonali się nawzajem, że należy wrócić do punktu wyjścia. Pożarski poszedł tam, dokąd szedł Minin, a Minin tam, dokąd szedł Pożarski. I obaj trafili na Kurski.

Tak. A teraz, powiedz mi: gdyby obaj nie zmienili trasy, lecz szli tak jak poprzednio - dokąd by doszli? Dokąd doszedłby Pożarski? Powiedz.

- Do Pietuszek? - zapytałem z nadzieją.

- A wcale nie! Cha-cha! Pożarski trafiłby na dworzec Kurski! Oto dokąd by zaszedł! Sfinks roześmiał się i stanął na obu nogach.

- A Minin? Dokąd by doszedł Minin, gdyby szedł swoją drogą i nie słuchał rad Pożarskiego? Dokąd by doszedł Minin?...

- Może do Pietuszek? - Ale już małą miałem na to nadzieję i prawie płakałem. - Do Pietuszek, tak?

- A na Kurski nie łaska?! Cha-cha! - I Sfinks, jakby mu się zrobiło gorąco, jakby się już spocił od złośliwego triumfu, zamachał ogonem. - Minin też by doszedł na dworzec Kurski!...

Wobec tego, który z nich trafiłby do Pietuszek, cha-cha? Do Pietuszek żaden by nie trafił...

Ależ się śmiał ten podlec! Ani razu w życiu nie słyszałem takiego śmiechu! Byłoby dobrze, jeśliby się tylko śmiał, lecz przecież on, nie przestając się śmiać, złapał mnie za nos dwoma paluchami i zaczął dokąś wlec...

- Dokąd? Dokąd mnie wleciesz, Sfinksie? Dokąd mnie wleciesz?...

- Zaraz zobaczysz dokąd! Cha-cha! Zobaczysz!...

Pokrow - 113 kilometr

Zaciągnął mnie na platformę, odwrócił mordą do okna - i rozplynał się w powietrzu... O co mu chodziło?

Spojrzałem przez okno. Rzeczywiście, czerni za oknem już nie było. Na zaparkowanym szkle ktoś wypisał palcem: "...” - i w tych prześwitach ujrzałem światła miasta, mnóstwo świateł i znikający napis stacyjny: „Pokrow”.

„Pokrow! Miasto rejonu pietuszkowskiego! Jeszcze trzy stacje - i Pietuszki! Jesteś na dobrej drodze, Wieniedikcie Jerofiejew.” I oto mój lęk, co się dotąd podnosił z dna duszy, nagle opuścił się z powrotem na owo dno i ucichł...

Trzy, może cztery sekundy warował, wyciszony. A potem - potem nie tyle znów zaczął się podnosić z dna duszy, co raczej z tego dna wyskoczył, i jedna myśl, jedna potworna myśl wdarła się we mnie, tak że aż kolana mi się ugięły.

Otóż ruszaliśmy teraz ze stacji Pokrow. Widziałem napis „Pokrow” w blasku świateł. I to było w porządku - i „Pokrow”, i jarzące się światła. Ale dlaczego pojawiły się z prawej strony pociągu?... Rozumiem, że umysł jest do pewnego stopnia zamroczony, ale przecież nie jestem dzieckiem, wiem, że jeśli stacja Pokrow pojawia się z prawej strony, to znaczy, iż jadę z Pietuszek do Moskwy, a nie z Moskwy do Pietuszek!... O, ty parszywy Sfinksie!

Oślupiałem, po czym zacząłem się miotać po całym wagonie; dzięki Bogu, nie było w nim żywej duszy. „Daj spokój, Wieniczka, nie martw się. Nie wal tak, głupie serce. Możesz po prostu coś poplątać; niewykluczone, że Pokrow jest jednak z lewej strony, a nie z prawej! Wyjdź znów na platformę, rozejrzyj się lepiej, z której strony pociągu napisano na szybie «...».”

Wybiegłem na platformę, i spojrzałem w prawo: na zroszonej szybie wyraźnie widniało słowo: „«...»” Spojrzałem w lewo: tam również było napisane: „«...»” Boże! Złapałem się za głowę, wróciłem do wagonu, znów oślupiałem, po czym zacząłem się miotać...

„Spokojnie, spokojnie... Przypomnij sobie, Wieniczka, całą drogę od samej Moskwy: siedziałeś po lewej stronie wagonu i wszyscy czarnowąsi, wszyscy Mitricze, wszyscy dekabryści - wszyscy oni siedzieli również po lewej stronie. To znaczy, że jeśli jedziesz w złym kierunku, twoja walizeczka powinna leżeć z lewej strony. Widzisz, jakie to proste!...”

Zacząłem biegać po całym wagonie w poszukiwaniu walizeczki - ale walizeczki nigdzie nie było, ani z lewej strony, ani z prawej.

Gdzie moja walizeczka?!

„No dobrze już, dobrze, Wienia, uspokój się. Niech tam. Walizeczka to głupstwo, walizeczkę znajdziesz potem. Najpierw zdecyduj się, dokąd jedziesz. A potem dopiero możesz szukać swojej walizeczki. Najpierw ustal trasę, później rozejrzyj się za walizeczką. A więc co najpierw - myśl czy walizeczka? Oczywiście, najpierw myśl, a potem - walizeczka.

Szlachetny z ciebie człowiek, Wienia. Dopij resztę kubańskiej - za to, że jesteś taki szlachetny.”

Tak więc odchyliłem głowę i dopiłem tę resztkę. I od razu rozproszyła się ciemność, w której byłem pogrążony, i zaświtała jasność z głębin mojej duszy i umysłu, rozjarzyły się błyskawice - po jednej błyskawicy na każdy łyk i co łyk - to błyskawica.

„Człowiek nie powinien być samotny - tak uważam. Człowiek powinien oddawać siebie ludziom, nawet jeżeli tego nie chcą. Ale jeśli mimo to jest samotny, powinien przejść się po wagonach. Powinien odnaleźć ludzi i powiedzieć im: «Jestem samotny. Oddaję się wam bez reszty, jako że resztę dopiero co wypilem, cha-cha! A wy oddajcie mi siebie i oddając powiedzcie, dokąd właściwie jedziemy? Z Moskwy do Pietuszek czy z Pietuszek do Moskwy?»,,

„I doprawdy tak według ciebie powinien postępować człowiek?” - zadałem sam sobie pytanie, skłoniwszy głowę w lewo.

„Tak. Właśnie tak - odpowiedziałem sobie skłoniwszy głowę w prawo. A nie bez końca przyglądać się «...» na zapotniałej szybie i dręczyć się zagadką...”

Więc ruszyłem wzdłuż wagonów. W pierwszym nie było nikogo, tylko deszcz bryzgał

przez otwarte okna. W drugim również nikogo, ale tu nawet deszcz nie bryzgał...

W trzecim ktoś był...

113 kilometr - Omutiszcze

... Kobieta, w czerni od stóp do głowy, stała przy oknie i obojętnie wpatrywała się w mgłę poza nim, przyciskając do ust koronkową chusteczkę. „Nic dodać, nic ująć - czysta kopia *Nieutulonego bólu*, twoja kopia, Jerofiejew” - z punktu pomyślałem o sobie i z punktu się sam z siebie roześmiałem.

Cicho, na palcach, żeby nie spłoszyć zachwyty, podszedłem do niej od tyłu i zamarłem w bezruchu. Kobieta płakała...

Tak! Człowiek szuka samotności, żeby zapłakać. Ale z natury rzeczy nie jest samotny. Jednak kiedy płacze, po prostu nie ma ochoty, aby ktokolwiek widział jego łzy. I dobrze robi, czyż bowiem istnieje na świecie coś wznioślejszego od nie dającego się ukoić bólu?... O, powiedzcie teraz coś takiego, coś takiego, żeby trysnęły łzy z oczu wszystkich matek, żeby przyoblekły się w żałobę pałace i chałupy, kiszlaki i auły!...

I cóż właściwie powiedzieć?

- O, księżno - zagadnąłem cicho.

- Czego chcesz? - odezwała się księżna, patrząc w okno.

- Niczego. Harmonię twoich warg widać nawet z tyłu, i tyle...

- Nie majtaj nogami, chłopie. To nie harmonia, lecz nasada nosa... Siedź lepiej i milcz, a wezmą cię za mądrzejszego, niż jesteś...

I ja miałbym w mojej sytuacji milczeć! Ja, który szedłem przez wszystkie wagony, by znaleźć rozwiązanie zagadki!... Szkoda, że zapomniałem, co to była za zagadka, ale pamiętam, że chodziło o coś bardzo ważnego... Dobrze, mniejsza z tym, potem sobie przypomnę... Kobieta płacze - a to o wiele ważniejsze... O, hańbicie! Zamienili moją ziemię w samo najbardziej gówniane piekło - i łzy kazali ukrywać przed ludzkim wzrokiem, a śmiać się na pokaz!... O, nikczemne kanalie! Nie zostawili ludziom nic oprócz bólu i strachu, i żądają potem, by śmiech był publiczny, łzy zaś zakazane!...

O, powiedzcie teraz coś takiego, żeby tych wszystkich bydlaków spalić swoim wieszczym słowem! Wyrzec słowo, które wstrząsnęłoby wszystkimi ludami starożytności!...

Po chwili namysłu rzekłem:

- Księżno!... Ej, księżno!...

- No, co znów?

- Nie ma już twojej harmonii. Już jej nie widać.

- A co w takim razie widać?

- Tylko krzaczki za oknem. (Odpowiadała mi, patrząc bez przerwy w okno i nie odwracając głowy.)

- Sam jesteś krzaczek...

„No i cóż, krzaczek, to krzaczek.” Od razu jakoś straciłem kontenans i osłabły usiadłem na ławce. Za nic, choćbym nawet skonał, nie mogłem sobie przypomnieć, po co szedłem wzdłuż wagonów i dlaczego spotkałem właśnie tę kobietę... I co w tym jest właściwie takiego ważnego.

- Posłuchaj no, księżno!... A gdzie to twój kamerdyner Piotr? Nie widziałem go od sierpnia zeszłego roku.

- Co tam mamroczesz?

- Słowo honoru, od tamtej pory go nie widziałem... Gdzie twój kamerdyner?

- Taki sam on mój, jak i twój! - odgryzła się księżna. I nagle zerwała się z miejsca i runęła do drzwi, omiatając suknią podłogę wagonu. Tuż przy drzwiach zatrzymała się, obróciła ku mnie zapuchnięte, drżące od łez oblicze i krzyknęła:

- Nienawidzę cię, Andrieju Michajłowiczu! Nie-na-wi-dzę!!! I zniknęła.

„To jest to-o-o - rzekłem przeciągle; w moim głosie był zachwyt niegdyśszego dekabrysty. - Zręcznie mnie obcięła!” I w dodatku odeszła, nie dając odpowiedzi na najważniejsze!... Królowo Niebieska, a co jest właściwie najważniejsze? Okaż miłosierdzie i spraw, żebym sobie przypomniał!... Kamerdyner!

Potrząsnąłem dzwoneczkiem... Po godzinie - znów potrząsnąłem.

- Ka-mer-dy-ner!!!

Wszedł sługa, ubrany na żółto, mój kamerdyner imieniem Piotr. To ja właśnie kiedyś mu po pijaku doradziłem, żeby ubierał się na żółto, aż do śmierci - a ten dureń mnie usłuchał i chodzi od tamtej pory w żółtej liberii.

- Słuchaj no, Piotrze. Spałem teraz czy nie spałem - jak myślisz? Spałem?

- W tamtym wagonie - tak, spałeś.

- A w tym nie?

- W tym nie.

- Dziwne to jakieś, Piotrze... Zapal no kandelabry. Uwielbiam, kiedy płoną kandelabry, chociaż właściwie nie wiem, co to takiego... I wiesz, znowu ogarnia mnie lęk... A więc, Piotrze, jeśli mam ci wierzyć, to w tamtym wagonie spałem, a w tym się obudziłem. Czy tak?

- Nie mam pojęcia. Sam spałem w tym wagonie.

- Hmmmm. Dobrze, ale dlaczego nie wstałeś i nie obudziłeś mnie? Dlaczego?
- A po co miałem cię budzić! W tym wagonie nie było sensu cię budzić, skoro spałeś w tamtym. A po co miałbym cię budzić w tamtym, jeśli sam się obudziłeś w tym!
- Nie mąc mi w głowie, Piotrze, nie mąc... Pozwól pomyśleć. Widzisz, w żaden sposób nie mogę dać sobie rady z jedną myślą. Tak przemożna jest ta myśl.
- A cóż to za myśl?
- Zaraz ci powiem: czy zostało mi jeszcze coś co wypicia...

Omutiszczce - Leonowo

...O nie, nie sądź, że to właśnie ta myśl, to po prostu sposób, żeby się z nią uporać. Rozumiesz, kiedy kończy się stan upojenia, pojawiają się lęki i mąci się świadomość. Gdybym się teraz napił, nie byłbym tak wewnętrznie rozdarty i rozkojarzony... Czy bardzo widać, jaki jestem rozkojarzony?

- Absolutnie nie widać. Tylko gęba ci spuchła.
 - No, to akurat nieważne. Gęba to głupstwo...
 - I do wypicia też nic nie ma - dodał Piotr, wstał i zapalił kandelabry.
- Otrząsnąłem się. „Dobrze, żeś zapalił, dobrze, bo wiesz - trochę się bałem. Jedziemy, jedziemy całą noc, i oprócz nas nie ma nikogo.”
- A gdzież twoja księżna, Piotrze?
 - Już dawno wysiadła.
 - Gdzie wysiadła?
 - W Chrapunowie. Jechała z Pietuszek do Chrapunowa. W Oriechowie-Zujewie wsiadła, a w Chrapunowie wysiadła.

- W jakim Chrapunowie! Co ty pleciesz, Piotrze?!... Nie mąc mi w głowie, nie mąc... Tak... tak, najważniejsza myśl... Nie wiadomo dlaczego płacze mi się po łbie Antoni Czechów. Tak, i Fryderyk Schiller. Fryderyk Schiller i Antoni Czechów. Ale dlaczego, pojęcia nie mam.

Tak, tak... Teraz mi się to jakoś układa: Fryderyk Schiller, kiedy już zasiadł do pisania tragedii, zawsze moczył nogi w szampanie. Chociaż nie, niezupełnie tak. To tajny radca Goethe łąził po domu w kapciach i w szlafroku... A ja nie. Ja w domu - bez szlafroka, a na ulicy - w kapciach... Więc co ma z tym wspólnego Schiller? Otóż to, że kiedy zdarzyło mu się napić, moczył nogi w szampanie. Moczył i pił. Bomba! A Antoni Czechów powiedział przed śmiercią: „Chciałbym się napić”. I umarł...

Piotr przez cały czas stał i patrzył na mnie.

- Czego tak na mnie patrzysz, Piotrze? Odwróć wzrok. Przestań na mnie patrzeć. Ja zbieram myśli, a ty się gapisz. Ach! Przecież był tam jeszcze Hegel. To akurat świetnie pamiętam: był Hegel. I mówił: „Nie ma różnic, oprócz różnicy w stopniu, między różnymi stopniami i brakiem różnicy.” Znaczy to, jeżeli przełożyć tę myśl na normalny język: „Któż teraz nie pije?...” Mamy coś do wypicia, Piotrze?

- Nie ma nic. Wszystko wypite.

- I w całym pociągu nie ma nikogo?

- Nikogo.

- Cóż...

I znów się zadumałem. Dziwna to była zaduma. Snuła się wokół czegoś, co samo z siebie czymś się osnuwało. I to coś było także dziwne. A dusza - ach, jakże ciężko mi było na duszy...

Co robiłem w tej chwili - zasypiałem czy budziłem się? Nie wiem, bo i skąd miałbym wiedzieć? „Jest życie, lecz jakim je nazwać imieniem? Ni sen to, ni jawa.” Tak przedrzemałem dwanaście, a może trzydzieści pięć minut.

Kiedy zaś się ocknąłem, w wagonie nie było żywej duszy, i Piotr również gdzieś się rozpląnął. Pociąg cały czas mknął na wskroś deszczu i ciemności. Dziwne mi się zdało trzaskanie drzwi wagonów, a to dlatego, że w żadnym wagonie nie było przecież żywej duszy.

Leżałem jak trup, zlany lodowatym potem, lęk pod sercem wciąż wzbierał i wzbierał...

- Ka-mer-dy-ner!

W drzwiach pojawił się Piotr z posiniąłą i złą twarzą. „Zbliź się, Piotrze, zbliź się, jesteś przecież cały mokry - dlaczego? To ty teraz trzaskałeś drzwiami, czy tak?”

- Niczym nie trzaskałem. Spałem po prostu.

- Więc kto tak łomotał?

Piotr patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma.

- No nic, drobiazg. Jeśli w sercu wzbiera lęk, to znaczy, że trzeba go zagłuszyć, a żeby go zagłuszyć - trzeba wypić. Czy mamy co wypić?

- Nie ma nic. Wszystko wypite.

- I w całym pociągu nikogusieńko nie ma?

- Nikogo.

- Łzesz, Piotrze, cały czas łzesz!!! Jeżeli nie ma nikogo, to kto przez cały czas trzaska drzwiami i oknami? No?... Słyszysz?... Ty z pewnością masz co gołnąć, ale łzesz przez cały czas...

Piotr nadal nawet okiem nie mrugnął i gapił się na mnie ze złością. A potem zwałił się

na kandelabr, zgasił go własnym ciałem - i ruszył wzdłuż wagonów, gasząc po kolei światła. „Wstyd mu, wstyd!” - pomyślałem. Ale on już wyskoczył przez okno.

- Wracaj, Piotrze! - wrzasnąłem tak, że nie byłem w stanie poznać własnego głosu. - Wracaj!

- Ty kanalio! - doleciało do mnie zza okna. I nagle - znów wpadł przez okno do wagonu, podfrunął, chwycił mnie za włosy i zaczął szarpać, z początku szarpnął do przodu, potem do tyłu, a potem znów do przodu, a wszystko z tą samą nieposkromioną złością...

- Piotrze, co ci się stało? Co ci się stało?

- A co się miało stać! Zostań sobie tutaj, babuleńko! Zostań tutaj, stara szmato! Jedź do Moskwy! Sprzedawaj swoje pestki! Ja już dłużej nie mogę, nie mogęeeee!

I znów wyfrunął w ciemność, tym razem na zawsze.

„Cholera wie, co to ma znaczyć? Co się dzieje z nimi wszystkimi?” Ścisnąłem skronie, drgnąłem i zadygotałem w konwulsjach. Razem ze mną zadygotały i zatrzęśły się wagony. Jak się okazało, od dawna już trzęsły się i dygotały...

Leonowo - Pietuszki

...Drzwi wagonów szczęknięły, potem załomotały. Łomotały coraz głośniejsze i bezczelniej. I oto wpadł do mojego wagonu i pofrunął w głąb pociągu z posiniąłą ze strachu twarzą traktorzysty Jewtiuszkin. A w kilka chwil potem jego śladem wdarły się zastępy Erynii i popędziły za nim. Grzmiały bębny i cymbały...

Włosy stanęły mi na głowie. Przerażony zerwałem się z miejsca i zatupałem nogami.

„Powstrzymajcie się, dziewczyny! Boginie zemsty, powstrzymajcie się! Nie ma winnych na tym padole!...” A one wciąż pędziły i pędziły.

I kiedy ostatnia zrównała się ze mną, wściekłem się, złapałem ją od tyłu, a ona dyszała zziębnięta.

- Dokąd? Dokąd tak bez końca gnacie?

- A tobie co do tego? Odwal się! Puszczaj-a-aj!

- Dokąd? Dokąd ciągle jedziemy? - dokąd???...

- Nie twoja sprawa, szaleńcze!...

I nagle odwróciła się, złapała mnie za głowę i pocałowała w czoło - było to takie nieoczekiwane, że speszyłem się, usiadłem i zacząłem gryźć pestki słonecznika.

Kiedy je gryzłem, ona zdążyła odfrunąć kawałek, ale spojrzała na mnie, wróciła - i trzepnęła mnie lekko w lewy policzek. Wzbiła się pod sam sufit i rzuciła w pogoń za

przyjaciółkami. A ja runąłem w ślad za nią, wyciągając krwiożerczo szyję...

Zachód płonął, konie się płoszyły, i w ogóle gdzie to szczęście, o którym piszą w gazetach? Pędziłem jak szalony przez mrok i wichur, wyrывая drzwi z zawiasów; wiedziałem, że pociąg Moskwa-Pietuszki wykoleił się. Wagony się spiętrzyły - i znów waliły się jeden na drugi niby opętane szaleństwem... Wtedy krzyknąłem w desperacji:

- E-e-e-e-ej! Stó-ó-ó-ó-jcie! E-e-e-ej!

Krzyknąłem i osłupiałem - chór Erynii gnał od czoła pociągu w drugą stronę, prosto na mnie, bezładnym stadem. Za nimi - rozwścieczony Jewtiuszkin. Cała ta lawina przewróciła mnie i pogrzebała pod sobą...

A cymbały dźwięczały nadal. Grzmiały bębny. I gwiazdy spadały na ganek rady wiejskiej. I rozległ się śmiech Sulamitki.

Pietuszki - peron

A potem oczywiście wszystko się zakłębiło. Jeśli powiecie, że to była mgła, przyznam wam rację - tak, chyba mgła. A jeżeli powiecie, że nie, że to nie była mgła, lecz płomień i lód, lub na przemian - lód i płomień, odpowiem wam: dobrze, zgoda, lód i płomień, to znaczy, że najpierw stygnie krew, stygnie, a jak zastygnie, znów zaczyna wrzeć, i kipi, i znów zastyga.

„To gorączka - pomyślałem - ta rozpalona mgła wokół to z powodu gorączki, dlatego że trzęsą mną dreszcze, wszędzie wokół jest ta gorąca mgła.” A z mgły wyłania się ktoś znany, Achilles nie Achilles, ale dobrze mi znany. O! Teraz poznałem - to król Pontu Mitrydates. Cały w glutach, a w ręce ma nóż...

- Mitrydatesie, to ty czy nie? - Tak się źle czułem, że mówiłem prawie bezgłośnie.

- To ty, Mitrydatesie, tak?

- Ja - odpowiedział król Pontu Mitrydates.

- A dlaczegoś taki zasmarkany!?

- Ze mną tak zawsze. Kiedy jest pełnia księżyca - smarki mi ciekną...

- A kiedy indziej nie?

- Zdarza się. Ale nie tak jak podczas pełni...

- I co, w ogóle ich nie wycierasz? - przeszedłem już prawie na szept. - Nie wycierasz?

- Jakby tu powiedzieć? Nieraz wycieram, ale czy to podczas pełni nadążysz z wycieraniem? Nie tyle wytrzesz, co rozmażesz. Przecież każdemu co innego odpowiada - jeden lubi, żeby mu z nosa ciekło, drugi lubi się wysmarkać, trzeci - rozmazywać glutę. A podczas pełni...

Przerwałem mu:

- Pięknie mówisz, Mitrydatesie, tylko po co ci ten nóż?

- Jak to po co?... Żeby cię zarznąć - wiadomo! Też pytanie - po co!... Żeby zarznąć, oczywiście...

I jak się nagle odmienił! Cały czas mówił spokojnie, aż tu znienacka wyszczerzył zęby, posiniał - glutę gdzieś zniknęły - i zachichotał na dodatek. Potem jeszcze raz wyszczerzył zęby i zachichotał!

Od nowa zatrzęsły mną dreszcze: „Coś ty, Mitrydatesie, coś ty? - szeptałem czy może krzyczałem, nie mam pojęcia. - Schowaj nóż, schowaj, po co to?...” Ale on już nic nie słyszał, tylko machał nożem, jakby w niego wstąpiło tysiąc sinych z wściekłości biesów...

„To potwór!” W tej samej chwili dźgnął mnie w lewy bok, a ja cichutko jęknąłem, bo nie miałem nawet tyle siły, żeby zasłonić się ręką przed nożem... „Daj spokój, Mitrydatesie, wystarczy...”

Ale wtedy przebił mi prawy bok, potem znów lewy, następnie znów prawy - nadązałem jedynie bezsilnie skomleć - i wilem się z bólu po całym peronie. Ocknąłem się szarpany konwulsjami. Wokół nie było nic prócz wiatru, czerni i kurewskiego zimna. „Co się ze mną dzieje i gdzie jestem? Skąd ta mżawka? Boże...”

I znów zasnąłem. I znów zaczęło się to samo: dreszcze, i żar, i gorączka, a stamtąd, z oddali, z mgły, wyłoniła się para drabów z rzeźby Muchinej - robotnik z młotem i chłopka z sierpem - i jęli się do mnie zbliżać, a kiedy już byli tuż - uśmiechnęli się. Po czym robotnik wałnął mnie młotem po głowie, a chłopka - sierpem po jajcach. Krzyknąłem - i to na pewno głośno - aby znów się ocknąć, także i tym razem w konwulsjach, jako że teraz wszystko już we mnie dygotało - i twarz, i ubranie, i dusza, i myśli.

O, bólu! O, pieska zimnico! O, niemożności! Jeśli każdy mój piątek w przyszłości będzie taki - któregoś czwartku się powieszę. Czy takich dreszczy oczekiwałem od was, Pietuszki? Kto pozarzynał wasze ptaszki i podeptał wasz jaśmin, kiedy do was jechałem? Królowo Niebieska, jestem w Pietuszkach!.

„To nic, to głupstwo, Jerofiejew... Talitha kurni, jak wyraził się był Zbawiciel, to znaczy: wstań i idź. Wiem, wiem, ciężą ci wszystkie członki, cięży ci dusza, a na peronie mokro i pusto, nikt po ciebie nie wyszedł i nikt nigdy nie wyjdzie. Ale mimo to wstań i idź. Spróbuj... A twoja walizeczka, Boże, gdzie walizeczka z gośćmi? Dwie szklanki łuskanych orzechów dla malca, cukierki «bławatki» i puste butelki... Gdzież ta walizeczka? Kto ją gwizdnął i po co - przecież tam były prezenty!... A sprawdź, czy masz pieniądze?... Może chociaż trochę zostało?... Tak, tak... trochę jest, tyle co nic, ale co teraz znaczą pieniądze?... O,

efemeryczności! O, próżne wysiłki! O, najgnuśniejsza, najbardziej haniebną poro w życiu mego narodu - poro od zamknięcia do otwarcia sklepów!

Nic... nic to, Jerofiejew... Talitha kurni, jako rzekła twoja królowa, kiedyś ty leżał w trumnie - to znaczy: wstań i otrzep palto, wyczyść spodnie, otrząśnij się i idź. Spróbuj, zrób bodaj dwa kroki, dalej będzie ci już łatwiej. Im dalej, tym łatwiej. Sam przecież mówiłeś choremu malcowi: «Raz - dwa - butki - obuwaj - jak - ci - nie - wstyd - hej - wstawaj...» Ale najważniejsze to odsunąć się od torów, tutaj bez przerwy jeżdżą pociągi, z Moskwy do Pietuszek i z Pietuszek do Moskwy. Odsunąć się od torów. Zaraz wszystkiego się dowiesz, dowiesz się, dlaczego nigdzie nie ma ani żywej duszy i dlaczego ona po ciebie nie wyszła, wszystkiego się dowiesz... Idź, Wieniczka, idź...”

Pietuszki. Plac przed dworcem

„Jeśli chcesz, idź w lewo, Wieniczka - idź w lewo. Jeśli chcesz w prawo - idź w prawo. I tak nie masz dokąd pójść. Więc najlepiej idź prosto przed siebie, dokąd oczy poniosą...”

Ktoś mi kiedyś mówił, że umrzeć jest bardzo łatwo - wystarczy tylko czterdzieści razy pod rząd westchnąć głęboko, głęboko, jak można najgłębiej zaczerpnąć powietrza, i tyle samo razy z głębi płuc je wytnąć - a wtedy wyzioniesz ducha. Może by tak spróbować?...

Poczekaj, poczekaj!... Może najpierw dowiedzieć się, która godzina. Tak sprawdzić, która godzina. Ale od kogo się dowiedzieć, skoro na placu nie ma żywego ducha, naprawdę ani jednego?... A gdyby się nawet znalazł - nie zdołałby otworzyć ust z zimna i smutku... O, niemoto!..

I jeśli kiedyś umrę - a wiem, że umrę wkrótce - umrę, nie zaakceptowawszy tego świata; poznaawszy go z bliska i z daleka, od wewnątrz i od zewnątrz, umrę, nie akceptując go, a On spyta mnie: „Dobrze ci tam było, czy źle?” - a ja zaś będę milczał, opuszczę wzrok i będę milczał; znają tę niemotę wszyscy, którym nieobce jest trzeźwienie po wielodniowym ostrym chlaniu. Czyż bowiem życie ludzkie nie jest jedynie chwilowym odurzeniem duszy? I zamroczeniem jej? Wszyscy jesteśmy jak pijani, tyle że każdy na swój sposób, jeden wypił więcej, drugi mniej. Na każdego też alkohol inaczej działa: jeden śmieje się w oczy całemu światu, drugi łka na jego piersi. Jeden już puścił pawia i jest mu dobrze, a drugiego dopiero zaczyna mdlić. A ja - cóż ja? Tyle wałęsałem, i nic, bez wrażenia, ani razu nawet się nie roześmiałem i ani razu nie rzygnąłem. Ja, który wypilem, żyjąc na tym świecie, tyle, że wszelką straciłem rachubę - jestem najtrzeźwiejszy ze wszystkich, alkohol po prostu słabo na mnie działa... „Dlaczego milczysz?” - spyta mnie Pan, cały w błękitnych błyskawicach. I co ja mu

odpowiem? Tak, będę milczał, milczał, milczał...

A może jednak rozewrzeć usta? Znaleźć jakąś żywą duszę i spytać, która godzina?...

Ale po cóż ci wiedzieć, która godzina, Wieniczka? Lepiej idź, idź, zasłoń się przed wiatrem i idź wolniutko... Kiedy byłeś w raju niebiańskim, w zeszły piątek, trzeba było pytać o godzinę - a teraz raju niebiańskiego więcej nie będzie, więc po co ci godzina? Królowa z rzęsami opuszczonymi na policzki nie wyszła na stację, bóstwo odwróciło się od ciebie - więc po cóż ci wiedzieć, która godzina? „Nie kobieta, lecz marcepan” - nie wyszła po ciebie na stację. Radość ludzkiego żywota, lilia z doliny - nie przyszła, nie czekała. Co za sens po tym wszystkim pytać o godzinę, Wieniczka?...

I cóż ci pozostało? Rano - jęk, wieczorem - płacz, a nocą - zgrzytanie zębów... I kogo, kogo na świecie w ogóle obchodzi twoje serce? Kogo?... Ot, wejdź do pierwszego z brzegu domu w Pietuszkach i spytaj, stając w pierwszym lepszym progu: „Co was obchodzi moje serce?” Boże mój...

Skreśliłem za róg i zapukałem do pierwszych z brzegu drzwi.

Pietuszki - Sadowoje Kolco

Zastukałem - i dygocząc z zimna, stałem w oczekiwaniu, aż mi otworzą... „Strasznie wysokie domy pobudowali w tych Pietuszkach!...

Zresztą zawsze tak się zdaje po ciężkim i wielodniowym chlaniu - ludzie wydają się straszliwie rozwścieczeni, ulice niepomierne szerokie, a domy - potwornie wielkie... Wszystko powiększa się na kacu dokładnie o tyle, o ile zdawało się bardziej znikome niż zazwyczaj przedtem, kiedy byłeś pijany... Pamiętasz twierdzenie pomocnicze czarno wąsego?

Zapukałem jeszcze raz, głośniejszym głosem niż poprzednio.

„Czyż tak trudno otworzyć człowiekowi drzwi i wpuścić go na trzy minuty, żeby się ogrzał? Nie mogę tego pojąć... Tamci, tacy na serio, to pojmują, a ja, niepoważny, nigdy nie pojmę... Mane, tekkel, fares - zważonyś na wadze i uznany za niepoważnego, czyli «tekkel»... No i niech tam...

Ale czy jest tam waga, czy nie - wszystko jedno - na tamtych szalach westchnienie i łza przeważają wyrachowanie i premedytację. Wiem o tym lepiej, niż wy wiecie o czymkolwiek. Wiele przeżyłem, wiele wypilem i przemyślałem - więc wiem, co mówię. Wszystkie wasze gwiazdy przewodnie chylą się ku zachodowi, a jeśli nawet się nie chylą, to ledwie mrugają. Nie znam was, ludzie, słabo was znam, rzadko zwracałem na was uwagę, ale teraz mam problem: interesuje mnie, ku czemu dążą wasze dusze, by wiedzieć na pewno, czy znów zabłyśnie

gwiazda betlejemska, czy też zgaśnię - i to jest najważniejsze. Jako że wszystkie inne chylą się ku zachodowi, a jeśli nawet się nie chylą, to ledwie migocą; cóż z tego, że roztoczą trochę blasku, skoro niewarte są dwóch splunąć.

Jest tam waga czy nie ma, wszystko jedno - i tak my, niepoważni, przewartujemy i przezwyciężymy. Wierzę w to bardziej, niż wy wierzycie w cokolwiek. Wierzę, wiem i klnę się przed światem. Tylko dlaczego tak dziwnie poszerzyli ulice w tych Pietuszkach?...

Odszedłem od drzwi i jałem przenosić otępiały wzrok z domu na dom, z klatki schodowej na klatkę. I podczas gdy wkrađała się we mnie jedna przykra myśl, którą strach ująć w słowa, wraz z przykrym domysłem, który jeszcze straszniej wypowiedzieć - wciąż szedłem i szedłem, badawczo przyglądając się każdemu budynkowi, choć nie udało mi się, niestety, należycie ich obejrzeć: z zimna, a może z innego powodu, moje oczy napęłniły się łzami...

„Nie płacz, Jerofiejew, nie płacz... Po co płaczesz? I dlaczego tak drzysz? Z chłodu czy co? Uspokój się...”

Gdybym miał bodaj dwadzieścia łyków kubańskiej! Dotarłyby do serca, i serce od razu potrafiłoby przekonać umysł, że jestem w Pietuszkach! Ale kubańskiej nie było; skrzyłem w zaułek, i znów zadrżałem i zapłakałem...

I wówczas zaczęła się historia straszniejsza od wszystkich widzianych we śnie. Tym właśnie zaułkiem, z przeciwnej strony, nadchodziło czterech facetów. Od razu ich poznałem, i nie będę wam tłumaczył, kto zaczął... Zadrżałem jeszcze gwałtowniej niż poprzednio, zamieniając się cały w jeden nieprzerwany spazm...

A oni podeszli i otoczyli mnie. Jakby tu wam opisać ich gęby? O nie, nie były to bandyckie ryje, raczej przeciwnie, miały w sobie rys pewnej klasyczności, ale ich oczy! Mój Boże! Byliście kiedykolwiek w dworcowym szalecie w Pietuszkach? Pamiętacie, tam, w największej głębi, pod okrągłymi otworami przelewa się i pobłyskuje brązowa maź? Takiego właśnie koloru były oczy tych czterech. A czwarty z nich przypominał... zresztą, później wam powiem, kogo przypominał.

- No i wpadłeś - powiedział jeden.

- Co znaczy... wpadłem? - Głos drżał mi strasznie z przepicia i od dreszczy. Tamci uznali, że to ze strachu.

- Ano wpadłeś! Więcej już nigdzie nie pojedziesz.

- Niby dlaczego?...

- A dlatego.

- Słuchajcie no... - Głos mi się rwał, jako że dygotał każdy mój nerw, a nie tylko głos. W nocy nikt nie może być pewny siebie, to znaczy, mam na myśli zimną noc. Apostoł też zaparł

się Chrystusa, nim zapiał trzeci kur. Nie, dokładniej mówiąc, było tak: apostoł zaparł się Chrystusa po trzykroć, nim zapiał kur. Ja wiem, dlaczego to uczynił - dlatego, że drżał z zimna. A przecież grzał się przy ogniu, razem z tymi. Ja zaś nie mam ogniska i mam za sobą tydzień chlania. Jeśliby teraz chciano mnie wystawić na próbę, wydałbym, zaparłbym się Go siedem siedemdziesiątkroć razy, nie, jeszcze więcej...

- Słuchajcie - tłumaczyłem im, jak umiałem - puście mnie... co wam zrobiłem?... Po prostu nie dojechałem do dziewczyny... jechałem i nie dojechałem... zwyczajnie przespałem stację, ukradli mi walizczkę... Nic tam nie było nadzwyczajnego, a jednak szkoda... szkoda „bławatków”...

- Jakich znowu bławatków? - spytał ze złością jeden.

- Cukierków, Cukierki „bławatki”... i dwadzieścia deka orzechów, wiozłem synowi, obiecałem mu za to, że zna dobrze literę... ale to głupstwo... jak tylko doczekam świtu, znów pojadę... co prawda, bez pieniędzy, bez prezentów, ale oni i tak mnie przyjmą, i złego słowa nie powiedzą... albo na odwrót.

Wszyscy czterej patrzyli na mnie natarczywie i wszyscy zapewne myśleli tak: „Cóż za tchórz z tego kretyńskiego szmatławca!” A niech sobie myślą, niech myślą, byleby mnie tylko puścili!

- Chcę znów pojechać do Pietuszek...

- Nie pojedziesz do żadnych Pietuszek!

- No, dobra, nie pojadę, ale chciałbym na dworzec Kurski...

- Nie ma mowy o żadnym dworcu!

- Ale dlaczego?...

- A dlatego!

Jeden z nich zamachnął się i trzasnął mnie pięścią w nos, dwóch pozostałych również wygrażało - nic z tego nie rozumiałem. Udało mi się jednak utrzymać na nogach, i zacząłem się wycofywać wolno, wolno, wolniutko, a tamci czterej dalej nacierali...

„Uciekaj, Wieniczka, dokądkolwiek, wszystko jedno dokąd!... Uciekaj na Kurski! W lewo albo w prawo, albo w tył - wszystko jedno, i tak tam trafisz! Uciekaj, Wieniczka, uciekaj!”

Osloniłem głowę rękoma i puściłem się biegiem. A oni za mną...

Pietuszki. Kreml.

Pomnik Minina i Pożarskiego

„A może to jednak Pietuszki?... Dlaczego na ulicach nie ma ludzi? Dokąd wszyscy

wyparowali?... Jeśli tamci mnie dogonią, zabiją... I kogo wołać? W żadnym oknie nie pali się światło... i latarnie płoną fantasmagorycznie, nawet nie mrugną.”

„Bardzo możliwe, że to Pietuszki... Na przykład ten dom, w którego stronę biegnę - to przecież rejonowy oddział zakładu ubezpieczeń społecznych, a za nim ciemność... Pietuszkowski oddział ubezpieczeń - a za nim ciemność po wieki wieków i królestwo zmarłych... O nie, nie!...

Wypadłem na plac, brukowany mokrą kostką, złapałem oddech i rozejrzałem się dokoła.

„Nie, to nie Pietuszki, nie!... Jeżeli On na zawsze porzucił ziemię, ale widzi każdego z nas - wiem, że On w tę stronę ni razu nie spojrzał... A jeżeli nigdy mojej ziemi nie porzucił, jeśli przemierzył ją całą boso i w przebraniu niewolnika - ominął to miejsce i przeszedł mimo...”

„Nie, to nie Pietuszki! Pietuszek On nie mógł ominąć. Znużony nocował tam przy ognisku, a ja w wielu duszach dojrzałem popiół i dym Jego noclegu. Płomieni nie trzeba, wystarczy popiół i dym...”

To nie Pietuszki, o, nie! Kreml promieniał przede mną w całym swoim przepychu. I chociaż słyszałem już za sobą tupot nóg, zdążyłem pomyśleć: „Ja, który schodziłem całą Moskwę wzdłuż i wszerz, trzeźwy i naprany - ani razu nie widziałem Kremla, a w poszukiwaniu Kremla zawsze trafiałem na Kurski. I oto teraz - teraz go zobaczyłem, kiedy właśnie Kurski jest mi potrzebny jak nic na świecie!...”

„Niezbadane są drogi Twoje...”

Tupot wciąż się przybliżał, a ja w żaden sposób nie mogłem złapać tchu, żeby biec dalej: dowlokłem się do kremlowskiego muru - i padłem... Byłem kompletnie rozbity i udręczony strachem - było mi wszystko jedno...

Tamci zbliżali się - po dwóch z dwóch stron placu. „Co to za ludzie i co ja im zrobiłem?” Nie zadałem sobie tego pytania. „Wszystko jedno. Zauważą mnie czy nie - wszystko jedno. Nie chcę więcej drzeć, potrzebuję spokoju, to wszystko czego pragnę... Nic więcej, uchwaj Boże...”

A jednak dostrzegli mnie, podeszli i obstąpili, dysząc ciężko. Dobrze, że zdążyłem wstać, bo by mnie zatłukli...

- Ty nam?... Nam chciałeś nawiać? - zasyczał jeden, chwycił mnie za włosy i ze wszystkich sił wyrzwał moją głowę w mur kremlowski. Wydawało mi się, że rozpadłem się z bólu na kawałki, krew ściekała mi po twarzy i za kołnierz... Omal nie upadłem, ale jakoś zdołałem się utrzymać na nogach... Zaczął się łomot!

- W bebecz, w bebecz go butem! Pod obcasy!

Boże! Wyrwałem się i uciekłem - na przełaj przez plac. „Pędź, Wieniczka, jeśli dasz radę, gnaj, uciekniesz, oni w ogóle nie umieją biegać!” Na ułamek sekundy zatrzymałem się przy pomniku - otarłem krew z brwi, żeby lepiej widzieć - najpierw popatrzyłem na Minina, potem na Pożarskiego, potem znów na Minina... Dokąd? W którą stronę uciekać? Gdzie jest Kurski i dokąd uciekać? Nie było czasu na rozmyślanie - pognałem w tę stronę, w którą spoglądał kniaź Dymitr Pożarski...

Moskwa - Pietuszki.

Nieznana klatka schodowa

A jednak do ostatniej chwili liczyłem, że się uratuję. I kiedy wpadłem do nieznanej klatki schodowej, dopelzłem na najwyższe piętro, i znów padłem - wciąż jeszcze miałem nadzieję... „To nic, głupstwo, serce za godzinę uspokoi się, krew można zmyć, leż, Wieniczka, leż sobie aż do świtu, a wtedy pójdziesz na Kurski... Nie drzyj tak, już ci mówiłem, uspokój się...”

Serce biło tak, że przeszkadzało nadsluchiwać, a jednak usłyszałem - drzwi klatki na dole powoli się uchyliły i pozostały nie zamknięte, przez dobrych pięć sekund...

Dygocząc cały, powiedziałem sobie: Talitha kurni, to znaczy: wstań i gotuj się na zatracenie... To już nie talitha kumi, całym sobą czuję, że eli, eli lamma sabachthani, jako rzekł Zbawiciel... Co znaczy: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?” Czemuś mnie, Boże mój, opuścił?

Pan milczał.

Aniołowie niebiescy, tamci wchodzą na górę! Cóż mam robić? Cóż mam teraz uczynić, aby nie umrzeć? Aniołowie!...

Aniołowie roześmiali się. Czy wiecie, jak śmieją się aniołowie? To ohydne kreatury, teraz już wiem! Powiedzieć wam, jak się roześmiali? Kiedyś, bardzo dawno temu, na stacji w Łobnie pociąg przejechał człowieka, i to w jakiś niesamowity sposób - całą jego dolną połowę poszarpał na strzępy i rozrzucił po torowisku, górna zaś część pozostała w całości, jak żywa, i stała sobie przy szynach; tak stoją na cokołach popiersia różnych kanalii. Pociąg odjechał, a on, to znaczy ta połowa, stał dalej, a na jego twarzy malowało się wyraźne zaskoczenie, i usta były półotwarte. Wielu ludzi nie mogło na to patrzeć, odwracali się, pobladli, ze śmiertelną trwogą w sercu. Ale podbiegły do niego dzieci, troje czy czworo, gdzieś podniosły tłącego się jeszcze peta i wetknęły go między martwe, półotwarte wargi. Z okurka snuł się dym, a dzieci skakały wokół i śmiały się z zabawnego widowiska...

Otóż tak właśnie teraz aniołowie niebiescy śmiali się ze mnie.

Śmiali się, a Bóg milczał... Widziałem już tych czterech - parli w górę, pokonując ostatnie piętro... I kiedy ujrzałem ich przed sobą, silniejsze od strachu (słowo honoru - silniejsze) było zdumienie: cała czwórka wspinała się na bosaka, trzymając buty w rękach - po co to było potrzebne? Żeby nie robić hałasu na klatce? Czy też podkraść się do mnie niepostrzeżenie? Nie mam pojęcia, ale to było ostatnie co zapamiętałem. To znaczy właśnie owo zdumienie.

Nawet pozwolili sobie na chwilę oddechu - i wprost z ostatniego schodka rzucili się, aby mnie dusić, pięcioma albo sześcioma rękami, a ja, jak mogłem, odrywałem te ręce, broniąc swojego gardła, także jak mogłem. I wtedy właśnie zdarzyło się to najpotworniejsze - jeden z nich, o najbardziej okrutnym i klasycznym profilu, wyciągnął z kieszeni ogromne szydło osadzone w drewnianym trzonku, może zresztą nie szydło, lecz wkrętak czy jeszcze coś innego - nie wiem, i polecił pozostałym, aby przytrzymali mnie za ręce... Mimo iż broniłem się, jak mogłem, przygwoździli mnie do podłogi, kompletnie oszalałego ze strachu...

- Dlaczego?... Dlaczego, dlaczego?... - bełkotałem.

A oni przebili mi szydłem gardło...

Nie miałem pojęcia, że może istnieć taki ból. Zwinąłem się w męce, gruba czerwona litera „U” zamajaczyła przed moimi oczyma i rozplynęła się. Od tamtej chwili nie wróciłem do przytomności i nigdy już nie powrócę.

Podczas robót ziemno-kablowych w Szeremietiewie, jesienią 1969 roku